

Rafał Ziemkiewicz
Szosa na Zaleszczyki
„Wiedźcie albowiem, że ktokolwiek
uwielbia niewiastę, zaiste uwielbia
szatana, czyniąc Bogiem nieprawego
demoną.”
Malfre Ermengaud
Puste ulice

Z czym kojarzy się zazwyczaj słowo „ucieczka”? Pisk opon, smarujących na asfalcie smoliste ślady, karkołomne poślizgi na wirażach, urywane poszczekiwania policyjnych krótkofalówek, rozwijane w poprzek szosy kolczatki... Na pewno nie z tymi spokojnymi, lekkimi ruchami kierownicy, którymi prowadzi Rafał swoją srebrzystą toyotę sikhu płatanina wąskich, osiedlowych uliczek, pełnych brudu i pijaków. Ogromny wóz sunie miarowo poprzez wilgotną noc, która oblepia Warszawę śliskim kożuchem i spowija rtęciowe latarnie kokonami szarej mgły. Silnik szumi cicho, prawie niedosłyszalnie, kropelki brudu osiadają na przedniej szybie, gdzie niezmordowanie rozmazują je wycieraczki. Siedzimy w głębokich, miękkich fotelach, pogrążeni w milczącej zadumie. Rafał wpatruje się w drogę, Magda, na tylnym siedzeniu, przygląda się oknom mijanych bloków, w których tańczy błękitna poświata telewizorów. Nie wiem, nad czym się zastawiają. Ja nie potrafię skupić myśli na niczym poza tym, że się boję.

Wolałbym jazgot silników, ujadanie radiowozów i skowyt nadwerężanych hamulców. Jakikolwiek hałas, który mógłby zagłuszyć mój strach. Ale to nie jest gangsterski film. Cisza, spokój zamglonych, opustoszałych ulic. Nie ma do kogo strzelać, nikt za nami nie jedzie, żaden tajniak nie ukrywa się w mijanej bramie. Gdzieś, nie wiem gdzie, czuwa w swej sieci czarny pająk. Nie widać go. Za to on widzi wszystko i wszystkich. Nitkami pajęczyn spływają pokwitowania przelewów i wyciągi z kont, mandaty za przekroczenie prędkości, rachunki za prąd, gaz i benzynę, za wóz i przewóz, za pastę z jaj w przydrożnym barze i za przejechanie rogatek autostrady.

I dlatego właśnie czuję strach. Strach przed dusznym, gęstym powietrzem, przed zasnutym niebem, które nigdy nie nabiera w tym kraju błękitnej barwy, przed lepkiemi nićmi czarnego pająka, ciągnącymi od ekranów, głośników, szpał gazet, sięgającymi wnętrzości spowijającymi szarym opłotem mózgi. Nikt w nie nie wierzy. Ja też nie wierzyłem.

Samochód wytacza się na rzeźnię oświetloną mglistym blaskiem dwupasmówkę, przejeżdża przez nią i zanurza się w cieniu topoli, którymi obsadzono przed laty ulicę.

— Przez Powsin? — mówię, byle tylko cokolwiek wreszcie powiedzieć. Dobrze wiem, dokąd jedziemy: Nowoursynowską do Kabat, stamtąd wyboistą polną drogą, żeby wreszcie wynurzyć się z przeredzonego lasu gdzieś pomiędzy Powsinem a Jeziorną, omijając w ten sposób patrol drogówki, stojący zazwyczaj w Wilanowie. Rafał uśmiecha się lekko, kącikami ust, nie odrywając oczu od przedniej szyby.

— Przez Krymską, Kociołską, przez Gnomów i przez Dziewic, przez Mysią, Addis— Abebską i Łukasza z Błażewic... — odpowiada. Cały on. Chodząca księga cytatów. Po trzeciej pięćdziesiątce otwiera się na stronie z dawno już dla wszystkich umarłą poezją.

Ale tym razem Rafał nie pił, jak nigdy, chociaż oczy lśnią mu niczym po dopalaczu. „To będzie najlepszy numer w moim życiorysie.” Tak powiedział. I chyba, jak zwykle, wiedział, co mówi.

Najlepszy numer w życiorysie. Dla niego to tylko tyle. To mu wystarcza. Nie potrzebuje alkoholu.

Studio wyborcze „Ludziom — radość, miastom — zieleń, światu — pokój!” Złote litery hasła zadrżały na ekranie, jakby miały zamiar wylecieć mi z niego prosto w twarz. Trwały

jeszcze przez moment, w końcu rozplynęły się. Jeszcze przez sekundę z monitorów wdzięczyła się do mnie i milionów innych dziewczyna, trzymająca we wzniesionej ręce biały kwiat, symbol Ruchu Wyzwolenia. Puściła do widzów oko, uśmiechnęła się uwodzicielsko i zniknęła.

Zaczęła się reklama glebogryzarek spółki ROLPOLEX GmbH.

— Minuta — oznajmił jeden z ukrytych za ścianą ekranów techników.

— Włączać — rzucił ze swego miejsca Rafał. Siedział wyciągnięty w fotelu, z nogami skrzyżowanymi niedbale w kostkach, trzymając w lewym ręku swoją fajkę, z której unosiła się ku niewidocznemu w półmroku sufitowi smużka błękitnego dymu. Sądzę, że jeżeli ktokolwiek na świecie znał Rafała naprawdę dobrze, to były to właśnie jego fajki. Traktował je z pietyzmem starego kolekcjonera i czułością młodego ojca; zresztą sam kiedyś mówił, że fajka nasiąka swoim właścicielem. Twierdził, że ma takie, które przepalał, gdy życie mu się podle układało i teraz, kiedy którąś z nich zapali, od razu mu się robi gorzko w gębie. I takie, przy których dobrze mu się myśli albo wesoło spędza czas. Jeżeli to prawda, to najwięcej musiał mieć takich, przy których brało go obrzydzenie do rodaków. W każdym razie to się u niego dawało zaobserwować najłatwiej. Do reszty dokopywałem się długo, pół roku w Biurze Wyborczym i jeszcze te parę miesięcy w Wydziale Propagandy. I chociaż pod koniec nasze kontakty mocno się zacieśniły, do częstowania dopalaczem włącznie, na pewno mógłby mnie jeszcze niejednym zaskoczyć.

Wtedy jednak, w trakcie debaty, miałem go po prostu za faceta robiącego forszę. I cholernie imponował mi luz, z jakim podchodził do spraw zawodowych. Siedział sobie spokojnie i palił fajkę, podczas gdy ja cały trząsałem się i pociełem pod tymi wszystkimi kablami, przyssanymi do moich skroni, krtani i karku.

— Trzydzieści sekund — odezwał się znowu technik, gdy glebogryzarki ROLPOLEXU GmbH wjechały na ekranie w zachodzące słońce. Główny ekran wypełniała przy akompaniamencie dychawicznych trąbek stylizowana mapa Europy, rosnąca z wolna, aż w końcu został z niej tylko zajmujący cały obraz kontur Polski. Z miejsca, gdzie powinna być Warszawa, zrobiła się szczelina biało—czerwonej urny, w którą wleciała karta do głosowania, potem zamigotał nad nią seledynowy pytajnik, wreszcie cały ten kicz zbladł i rozmył się, ustępując miejsca napisowi: STUDIO WYBORCZE.

— Wchodź — rzucił zza moich pleców Rafał, niepotrzebnie, bo właśnie wciskałem wilgotną od potu dłońią rozjarzony czerwono taster w rogu pulpitu. Chwilę potem przeszedł mnie ten charakterystyczny dreszcz, idący od karku do opuszek palców, poczułem mrowienie skóry i lodowate ciarki na plecach. Kilka sekund; dwa odległe o kilkaset metrów systemy nerwowe spięły się w jeden obwód, nad którym, koncentrując się do granic możliwości i podkręcając gałki wzmacniacza, uzyskiwałem z wolna panowanie.

Siedziałem w studio na Woronicza, miałem pod powiekami jego mglisty, powidokowy obraz, i jednocześnie widziałem to studio znacznie wyraźniej przed sobą, na głównym ekranie. W głębi długi, biały stół, za nim uczestnicy debaty, obok podwyższenie dla prezentera, na prawo i lewo zbiegające się w perspektywie, amfiteatralne siedzenia dla publiczności. Publika zapełniała też gęsto miejsca naprzeciwko stołu, usadzona w półkole na dostawionych krzesłach. Na ekranie widać było u dołu ich ciasno upchane potylicy, na tle których poleciały od razu w białej kontrze numery telefonów.

Dołka siedziała trzecia od lewej, między gościem z obkomu a zadymiarzem. Bała się: natłok bezładnych myśli w głowie, puchnąca w przełyku kula, ssanie w żołądku. Ogólnie — trema granicząca z paniką. To było u niej normalne. Sięgnąłem do suwaków i pokręteł, wyciszając kobiecy lęk i rozbieganie myśli. Uspokoiła się łatwo. Kobietami w ogóle łatwo się steruje.

Prezenter zaczął od standardowych powitań, od przypomnienia, że mianowicie, jak państwo doskonale wiedzą, jesteśmy w swoim własnym domu i właśnie za dwa dni mamy w tym swoim własnym wyborach, i niektórzy już wiedzą, na kogo będą głosować, ale większość

jeszcze się waha, więc dla tej większości, co się waha, dzisiaj w Studiu Wyborczym przedstawiciele, ele—mele, i tak dalej — z pięć minut. Pewnie czuł, że jak się potem całe to bractwo rozgada, to on już nie będzie miał nic do dodania i chciał sobie odbić zawczasu. W końcu zaczął prezentować gości, kiwających sztywno głowami w kierunku kamery: pan Leonard Ćwiencik z Sojuszu na Rzecz Dostatniej Wsi, pan Zbigniew Nowina—Fornalczyk z Polskiego Zjednoczonego Komitetu Obywatelskiego, pani Dolores Skiba z Europejskiego Ruchu Wyzwolenia, pan Arkadiusz Głomb z Robotniczo—Chłopskiej Rewolucji Zadymokratycznej... Dałem sobie spokój z tym drętwym kiwaniem głową, zamiast tego zmusiłem Dolkę do lekkiego poruszenia spadającą na oczy grzywką i delikatnego uśmiechu; na tyle delikatnego, by wzbudzać sympatię oglądających program mężczyzn, nie ściągnął na nią od razu odruchowej niechęci asystujących im przed telewizorami kobiet.

Zrobiła to bezbłędnie.

W końcu ten gigantyczny strumień szmalu, który pompowano w prowincjonalną kampanię wyborczą z zachodu, a z którego podobnie jak wszyscy w okolicy starałem się wyrwać, ile się tylko da, dla siebie, nie szedł na marne. Wszystko, co dało się zrobić elektroniką, operacjami neurocybotycznymi i innymi rzeczami, o których przeciętny rodak miał takie mniej więcej pojęcie, jak o rozkoszach codziennej kąpieli, zostało zrobione doskonale. Reszta zależała od wynajętych dla Ruchu Wyzwolenia mózgow. Głównie mózgu Rafała. Mój, mogę się teraz pocieszać, miał w tym wszystkim znikomą udział.

Kamera cofnęła się, dając panoramę studia. Przyglądałem się uważnie Dolce. Sympatyczna blondynka o pociągłej twarzy i lekko pofalowanych włosach. Mogłaby wspaniale uprzyjemnić i upiększyć komuś życie, gdyby oczywiście nie przyszło jej do tego ptasiego, babskiego mózdzku zostać partyjną aktywistką. Okazała się świetnym odbiornikiem i z tego względu należała do aktywistek najbardziej eksponowanych; zapewne także ze względu na swój wygląd. „Buzia aniołka i oczy ładacznic”, jak swego czasu określił Rafał swoje wymagania wobec dziewczyn, które miały być ogrywane na masówkach i w telewizji dla potrzeb kampanii wyborczej. Trzeba przyznać, że pasowała do tego określenia idealnie. Raz jeden pindy zastosowały się ściśle do poleceń szefa Biura Wyborczego.

W żadnym calu i absolutnie niczym nie przypominała Magdy. Ale, oczywiście, jak każdemu zakochanemu idiotcie, przywodziła mi na myśl właśnie tę moją jedyną dziewczynę na świecie. I kiedy pół mojego mózgu zajęte było wysłuchiwaniami pierwszych, stereotypowych prezentacji gości w studiu, drugie pół gryzło się tą naszą zwariowaną miłością.

Miłość

Boże mój, ile razy przysięgałem sobie, że będę delikatny i cierpliwy. Ile razy starałem się sobie samemu wytłumaczyć, jak sprawy stoją i z której strony jest chleb posmarowany. I zawsze się to kończyło tak samo; to coś, co we mnie siedziało, rozpychało się coraz bardziej, nie pozostawiając miejsca dla tych spokojnych, powtarzanych z dala od niej tłumaczeń, od środka wzbierało gorąco, palce zaczynały się same z siebie robić coraz bardziej nachalne... I w końcu zdejmowałem jej bluzkę, potem uwalniałem piersi od stanika, wtulałem w nie twarz, zsuwając ten skrawek do niczego nie potrzebnej, pół przezrzystej bieli coraz niżej, centymetr po centymetrze z jej opuszczonych bezbronne ramion. Skóra Magdy lśniła w słabej poświacie lampy niczym polerowane złoto, a ja muskałem wargami te złociste, jedwabiste zбочa, falujące od gorącego oddechu, wtulałem usta w poddające się miękko szczyty wzgórz. Oplatałem ją mocno ramionami, kiedy próbowała się rozpaczliwie cofnąć; drżała cała i chciałem wierzyć, że to z podniecenia, że moje pocałunki coś w niej rozpalają. Łudziłem się tym, wmawiałem to sobie, nie chcąc wiedzieć tego, z czego przecież doskonale sobie zdawałem sprawę: że Magda po prostu się męczy, że w środku szarpie się między tym, czego może by i chciała, między mną a swoimi zasadami, których absolutnie nie potrafiła złamać.

Zawsze było tak samo: te moje niezręczne, rozbezczelnione paluchy zjeżdżały coraz natarczywiej w dół, po napiętym brzuchu ku zbiegowi zaciśniętych czujnie ud, wciskały się pod krawędź opinającego talię materiału, pod cienki jak westchnienie płatek, okrywający gęstwę delikatnych włosów...

Wtedy wyszarpywała się z jękiem, spoczywający w wąwozie pomiędzy piersiami medalik roziskrzył się pochwyconym refleksem światła tuż przed moimi oczami, jak ognisty miecz w ręku archanioła.

— Nie, proszę, nie, — szeptała błagalnie, kuląc się z przyciśniętymi do piersi rękami. — Proszę, nie zmuszaj mnie... czy naprawdę nie potrafisz poczekać?

Siedziała do mnie tyłem, światło obrysowywało miodowym połyskiem jej ramiona, spływało po gładkiej skórze pleców. A ja dyszałem ciężko, czując się jak granat z odpalonym zapalnikiem, gotowało się we mnie i sam nie wiem, czego tam było więcej: wściekłości, goryczy, bolesnego niezaspokojenia czy rezygnacji. Aż w końcu uświadamiałem sobie, że Magda płacze. Wtedy cała ta kotłowanina uchodziła ze mnie, jakby ktoś odkręcił wentyl, i zostawał tylko wstręt, tylko niechęć do samego siebie, że znowu ją zraniłem, że tak to wszystko beznadziejnie wygląda. I żal. Za czym? Że nie przypominała żadnej z tych wijących się pod spoconymi cielskami i jęczących rozkosznie panienek z pornosów? Ale czy kochałbym ją tak bardzo, gdyby je przypominała? Gładziłem ją po plecach i przepraszałem, zapewniałem, że wytrzymam, wiedząc doskonale, że i tak nie dotrzymam słowa. Chociaż nie, w końcu zacząłem dotrzymywać.

— Chcę być z tobą. Kocham cię. Naprawdę — mówiła potem, gdy jej oczy już schły, gdy siedzieliśmy przytuleni do siebie, ufnie, spokojnie i bez żadnych seksualnych podtekstów. — Wiem, że ci ciężko. Dlaczego to tak długo trwa?

— Wiesz dobrze, dlaczego.

— Ta twoja praca...

Nie mówiłem jej zbyt wiele o swojej pracy, nie pytała o to, ale i tak się domyślała.

— I kiedy z tym wreszcie skończysz?

— Najszybciej, jak będę mógł — odpowiadałem, wierząc głęboko w swoje słowa. — Na razie nie mogę. Nie mam gdzie pójść.

Człowiek do wynajęcia.

To był cały problem: naprawdę nie miałem gdzie pójść. Do obkomu? W stanie wojennym byłem za mały klajniak, żeby teraz opowiadać, jak to mi komuniści grozili palcem i jak z nimi przez całe życie zajadłe walczyłem. Zresztą wtedy, gdy szukałem roboty, hołubiłem jeszcze w duszy jakieś resztki młodzieńczej wiary w demokrację, więc zasadniczo towarzystwo mi niezbyt odpowiadało. Do socjalistów mnie nie ciągnęło, przypadkiem miałem nieszczęście czasem widywać klasę robotniczą z bliska i to wzdychanie do jej chamowatej tężyzny, uprawiane przez okularników z Uniwersytetu, jakoś mnie zawsze śmieszyło. Na zadymiarza byłem już za stary, w Boga ani Ojczyznę nie wierzyłem, a między chłopkami z tą ich wieśniaczą, tępą pazernością, że niech się świat zawali, niech w niebie grzmi i pierdzi, a oni muszą mieć swoje dotacje do „litry mleka”, czułbym się jak idiota.

Mogłem, oczywiście, startować na niezależnego dziennikarza, to znaczy takiego, który daje ciała raz tym, raz tamtym, zależnie od układu. Ale żeby się sprzedawać, trzeba mieć jakieś nazwisko, jakąś tam grupę naiwnych ciotek, które na tyle lubią moją buzię, że zawsze uwierzą w to, co powiem lub napiszę. A ja byłem szczawikiem świeżo po studiach.

Więc w końcu trafiłem do pind. Właściwie przypadkiem. Okazało się, że jest okazja pokazać, co się umie, no i płąciły, że daj Boże każdemu. Całe moje szczęście, że trafiłem tam na Rafała, bo jeszcze bym w tę ich nadchodzącą rajską epokę wiekuistej szczęśliwości uwierzył.

Szef wyleczył mnie z tego bardzo szybko. „Żadna sztuka przekonać ludzi do czegoś, co jest słuszne i mądre. Zabawa polega na tym, żeby wepchnąć im stertę głupot tak, by kupili je jak swoje, z rozdziawionymi gębami, i byli szczęśliwi, że dostąpili objawienia. I to jest dopiero warte grzechu. Tak wykręcić kota ogonem, żeby hołotę przekonać na amen: jest tak, inaczej być nie może. A tego nie zrobisz, jeżeli sam będziesz wierzył w te głupoty, które wygadujesz.”

On sam, oczywiście, nie próbował ukrywać, że cała ideologia Ruchu Wyzwolenia bawi go serdecznie, doprowadzając tym aktywistki do furii. A jednocześnie upychał ją w niesamowity sposób, gdzie się tylko dało, pociał się nad tym bardziej niż najbardziej fanatyczne podwładne pani Bernadetty. Naprawdę, długo nie mogłem pojąć, dlaczego to robi,

Dolores Skiba

— Stoimy na progu nowego tysiąclecia — powiedziała Dołka, gdy wreszcie przyszła jej kolej. — I nasza partia stara się myśleć przede wszystkim o tym, co nas czeka. Rozpamiętywanie przeszłości zostawiamy innym. Ludzkość dokonała w ostatnich dziesięcioleciach niewyobrażalnego postępu technologicznego i cywilizacyjnego, nasz kraj w niedługim czasie doświadczy go w tym samym stopniu, co pozostałe. Ale za tym postępem muszą jeszcze pójść zmiany w mentalności ludzkiej, które pozwolą z niego korzystać wszystkim, nie, jak dotąd, tylko wybranym. Wierzmy, że zbliża się nowa epoka: epoka świata bez granic, bez zbrojeń, bez głodu i przemocy. Obowiązkiem wszystkich ludzi dobrej woli jest przyspieszyć nadejście tej epoki. Nie jesteśmy ruchem tylko kobiecym, jak się nas często przedstawia. Jesteśmy ruchem walczącym o lepsze czasy i lepsze życie dla wszystkich. Oczywiście uważamy, że ta nowa epoka dużo będzie miała do zawdzięczenia kobietom, liczymy na ich energię i pracowitość. Dotąd zawsze nas ograniczano i spychano w dół, odsuwając od decyzji. Ten czas minął. Potrafimy wziąć swój los we własne ręce i urządzić świat lepiej, niż to zrobili mężczyźni, nie pytając nas o zdanie.

Myślę, że w świetle tego zrozumieją państwo, dlaczego nie uważamy się za partię polską. Jesteśmy ruchem ponadnarodowym i w tych wyborach występujemy jako polski oddział Europejskiego Ruchu Wyzwolenia tylko ze względów organizacyjnych. Granice muszą zniknąć, a Polska — stać się pełnoprawnym uczestnikiem europejskiej wspólnoty. Będziemy do tego dążyć. Nie jesteśmy żadną lewicą ani prawicą, te archaiczne pojęcia nie pasują do dzisiejszych czasów. Jesteśmy ruchem, który postawił sobie za cel całkowitą zmianę świata, który walczy o nowy, naprawdę szczęśliwy, XXI wiek. Liczymy na poparcie nie tylko kobiet, które szczególnie powinny się zaangażować w jego budowę, ale wszystkich ludzi myślących z troską o przyszłości swojej i całego świata.

Nieźle, co? Zwłaszcza z tym „pełnoprawnym uczestniczeniem w europejskiej wspólnotie”. Wiadomo, jak każdy to rozumie — że będzie zarabiał jak Niemiec, opieprzając się dalej jak Polak. W dodatku nie wykorzystałem czasu, zostały mi pełne dwie minuty. Ta zwięzłość, na tle innych, musiała mieć dla widzów swoją cenę.

Oczywiście pindom zupełnie się słowa Dołki nie spodobały. Trzy należące do nich monitory zaczęły natychmiast pulsować znakami przynaglenia. Nawet nie musiałem na nie patrzeć: nie powiedziałem o Upokarzającym Rozrodzie, nie dość zaakcentowałem, iż kobiety jako wyzyskiwana dotąd i niewolona klasa społeczna są jedyną grupą uprawnioną do kierowania przejściem w szczęśliwszy etap w dziejach ludzkości, w ogóle pominąłem milczeniem szereg najistotniejszych dla nich i najweselszych dla normalnego człowieka punktów programu. I to w decydującej o wszystkim debacie telewizyjnej, na dwa dni przed wyborami. Pindy były ze mnie bardzo niezadowolone. Ja sam — dokładnie odwrotnie.

Pindy

Właściwie nie powinienem nazywać kierownictwa ruchu w ten sposób, w końcu pracowałem dla nich i teoretycznie im podlegałem. Teoretycznie, bo w praktyce tylko Rafałowi, a on z kolei bezpośrednio Radzie Europejskiej. Ale w końcu jakoś je trzeba było nazywać. Oficjalne „Ruch Wyzwolenia” było zbyt nadęte i za długie, nawet po obcięciu przed rokiem ostatniego słowa „Kobiet”. One same próbowały określenia „Ruch Dwudziestego Pierwszego Wieku”, które przyprawiło Rafała o konwulsyjny skurcz twarzosczyki. Nie lubił nachalnej, chamskiej propagandy. Uważał, że wszystko, co człowiek robi, powinno być sztuką; zwłaszcza robienie bliźnim wody z mózgow.

Mass media ukuły termin „ruch feministyczno—ekologiczny”, oddający genezę ugrupowania, ale zbyt toporny i nieporęczny. Przeciwnicy starali się wylansować „neolewicę”. Ta nazwa była chyba w sumie najbliższa istoty rzeczy, więc zwalczaliśmy ją na wszelkie możliwe sposoby, zresztą skutecznie — po wyborach całkowicie wyszła z użycia.

Przeciętny człowiek na ogół nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważną rzeczą jest nazwa. Dobra nazwa to połowa sukcesu, jeśli nie więcej. Wbijają się w pamięć, wczepia w myśli i zawsze od razu kieruje je we właściwą stronę. Określenie „pindy” używane było tylko w prywatnym gronie pracowników Biura Wyborczego.

Upokarzający Rozród

Te trzy monitory w lewym górnym rogu oddano pindom chyba tylko po, żeby poprawić im samopoczucie. Dla mnie były zupełnie bezużyteczne. Liczyła się cała reszta, otaczająca wianuszkami główny ekran, na którym leciał obraz z telewizji. Spływały na nie dane z terminali zespołów specjalistycznych, które Biuro Wyborcze montowało przez dobre pół roku. To była moja przewaga w debacie, karta, którą miałem do wygrania. Żaden człowiek nie może się znać jednocześnie na polityce, ekonomii, stosunkach społecznych i diabli wiedzą czym jeszcze, o co zawsze może zostać zahaczony. Siedziałem o pół kilometra od studia, z którego nadawali program, a za ścianami i w rozrzuconych po całym mieście pokojach przegrzewały się scalaki komputerów oraz zwoje mózgowe pracujących dla nas speców. Na każdy tekst, który leciał ze studia, miałem z miejsca pięć kontrargumentów i przewidywane kontr–kontrargumenty, po jakie mógł sięgnąć przeciwnik, razem ze stosownymi kontr–kontrargumentami. Przebiegałem tylko wzrokiem po ekranach, zbierając, co akurat było potrzebne, i pakując w formie krótkich, zwięzłych wtrętów pomiędzy przemowy zacietrzewionych polityków.

Niewykluczone, że kiedyś, dawno temu, tak zwane dyskusje miały sens. W czasach, gdy ludzie mówili oraz wiedzieli niewiele i przywiązywali wagę do tego, czy mają akurat rację, czy nie. Potem świat zrobił się duży, ciasny, pełen przekrzykujących się filozofów, proroków oraz ekspertów, z których żaden nie zgadzał się z drugim. Naprodukowali oni tyle sprzecznych ze sobą teorii i dowodów na wszystko, że z miejsca zaczęło to przekraczać zdolności pojmowania przeciętnego człowieka. Słuszność nie ma w tym wszystkim najmniejszego znaczenia. Chodzi o to, bo poruszać się w tej gęstwie na tyle sprawnie, by umieć zawsze sprawić wrażenie, że się tę słuszność ma. Najprostszy sposób to najpierw przegrzać człowiekowi mózgowie, zmusić adwersarza do zarzucenia słuchaczy taką stertą statystyk, cytatów, faktów i uczonych teorii, żeby zgłupieli i zdali sobie sprawę, iż to nie na ich głowy; a potem zniecka walnąć ich między ślepią czymś, co wyda się proste i tak oczywiste, że chwycą się tego z ulgą — a jednak jestem mądry i wszystko rozumiem. Dobry dziennikarz przekona ludzi do wszystkiego. Myślę, że się tego nauczyłem.

Wiedziałem w każdym razie, że przede wszystkim ludzie potrzebują czegoś prostego, na swoją miarę. Nie wolno zmuszać ich do wysiłku umysłowego i ogarniania jakichkolwiek złożoności. Tak naprawdę, człowiek potrzebuje przede wszystkim wiary. Wiary w to, że

pojmuje świat i jest po właściwej stronie. Coś nieskomplikowanego: wszystko przez Żydów. Albo przez czarownice. Albo przez krwiopijcze klasy wyzyskujące. Bez tego męczy się i czuje zagubiony. I kiedy wreszcie złapie coś, co pozwoli mu uwolnić się od uciążliwego kombinowania, przerzucić ten wysilek na swoich przedstawicieli i oddać im się duszą i ciałem, jest szczęśliwy. A kto nie chce być szczęśliwym?

A zresztą człowiek jest bydlęciem stadnym. Im większe stado, tym mu w nim lepiej i tym pilniej będzie się starał nie odstawać. Więc trzeba tylko sprawić wrażenie, że wszyscy tak właśnie sądzą.

Cały problem polega jedynie na zgromadzeniu pewnej masy krytycznej zwolenników, potem leci już samo. Oczywiście to, co robiliśmy w Biurze Wyborczym, to był dopiero początek. Rafał twierdził, że obiecujący. Mieliśmy wszystkie atuty w rękę: ideologia pind była prosta jak konstrukcja cepa, tłumaczyła wszystko złą, samczą brutalnością i agresją, obiecywała raj kobiecej łagodności i wrażliwości, w dodatku była to ideologia nowa. I przychodziła w momencie, gdy kilka innych straciło już blask, a tak zwany ogół rozglądał się niecierpliwie za czymś, czym mógłby zwolnić się z męczącej odpowiedzialności za swoje czasy, by poświęcić całą energię codziennym sprawom. „Na razie jeszcze to ludzi śmieszy” — mówił Rafał. „— Ale nie przejmujcie się, panowie, bolszewików też nikt nie traktował poważnie. Cała ta ideologia jest śmieszna, dopóki głosi ją kilka nawiedzonych wariatek. Naszym zadaniem jest teraz zadbać, żeby wszyscy byli tym bombardowani od rana do wieczora. Jeżeli zrobimy to umiejętnie, za kilka lat będzie hołotę śmieszyło, kiedy ktoś przypadkiem powie coś normalnie.”

Wtedy, przed wyborami, było jeszcze do tego bardzo daleko. Dlatego musiałem uważać, co mówię, i pilnować, by Dołka nie wyskoczyła sama z siebie z jakąś pindowską frazeologią. Dlatego właśnie trzy monitory w lewym górnym rogu bez przerwy rozjarzały się na czerwono, a w gabinecie na końcu korytarza urywał się telefon, na drugim końcu którego dyszała z wściekłości Bernadetta Wsadzaj. Głupie fanatyczki nie miały o niczym zielonego pojęcia, chciały wszystkiego naraz, pewne, że każda baba w Polsce jak je usłyszy dozna olśnienia, a każdy facet pokiwa smętnie głową i powie: „Mają rację, spapraliśmy robotę, teraz ty powalcz ze światem, a ja idę do garów”.

Naturalnie w trakcie debaty nie miałem czasu na takie rozmyślenia. To już była rutyna, zresztą zwiјаłem się jak w ukropie. Pierwsza godzina wystarczyła obkomowcom, dewotom, ludowcom, socjalistom, liberałom i wszystkim innym, żeby zrobić z siebie kompletnych idiotów, obrzucić się nawzajem taką stertą zarzutów, pretensji i szczytnych hasel, zaryć tak głęboko w duperelnych szczegółach, że w końcu każdemu widzowi musiało się od tego zagotować pod stropem. Jakieś trzy kwadransy zbierałem punkty, wyłapując postrzępione wątki i dolepiając im zgrabne, zwięzłe pointy. Kiedy sześciu ludzi długo i mądrze udowadnia ci, że ich zdaniem powinieneś lepiej zarabiać, a siódmy potem powtórzy to w dwóch zdaniach, całą zasługę postulowania dla ciebie lepszych zarobków przypiszesz w duszy temu ostatniemu. To drobny, prosty chwyt, ale nasza robota zasadzała się właśnie na stosowaniu setek takich drobnych, prostych i skutecznych chwytów.

Potem, wyłapawszy już ogólny układ sił, zacząłem szykować się do ataku. Dołki cały czas nikt nie zaczepiał. Zabrałem się do łamania dobrych obyczajów i wypominania poszczególnym partiom ich spektakularnych potknięć oraz udowodnionych świństw; całą listę przygotowałem sobie jeszcze przed debatą. Za każdym razem Dołka miała przy tym milczące poparcie wszystkich pozostałych, zadowolonych, że oto słodka idiotka z nie liczącej się partii mówi na głos coś, co dyskredytuje konkurentów, a czego im samym powiedzieć by nie wypadało, bo przecież chodzili na te same rauty i przyjęcia, byli tym samym towarzystwem, co i raz cementowanym dodatkowo mniej lub bardziej doraźnymi sojuszami i koalicjami. Za późno połapali się, że słodka idiotka ma haka na każdego; nie dałem im czasu na reakcję. W siedemdziesiątej minucie uznałem, że czas rzucić Dołkę do frontalnej szarży. Już nie na ten

czy inny punkt programu, nie na tę czy inną partię, ale na całość ich układu, na polityczny pieprznik, jaki zdążyli przez te paręnaście lat zrobić w kraju. „Mam wrażenie, że panowie świetnie się bawicie. Być może chcecie sukcesami w tej przepychance udowodnić sobie swoją własną męskość, choć osobiście uważam, że są lepsze sposoby (uśmieszek). Ale przeciętny Polak powinien zastanowić się, ile go te wasze zabawy kosztują...”

Z wolna zaczęli się łapać, że muszą odpowiedzieć; Dołka posunęła się za daleko, trzeba było ją teraz szybko zdyskredytować i unieważnić w ten sposób jej słowa. To był z ich strony błąd, lepszy efekt dałoby zbycie baby wyniosłym milczeniem. Zamiast tego sypnęły się ataki — improwizowane naprędce, niespójne, z którymi dobrze umiałem sobie poradzić. Ale w końcu oni nie siedzieli spokojnie z dala od studia, mając pod ręką wszelkie potrzebne informacje, a za plecami szefa, mogącego w razie czego wyciągnąć z tarapatów. W efekcie zrobili dokładnie to, o co mi chodziło: poddając Dołkę koncentrycznemu ostrzałowi uczynili z niej główną postać debaty, skupili na niej całą uwagę wyborców. Zostało jeszcze jedno, najważniejsze — wydostać się spod gradu zarzutów jako zwycięzca. Spociłem się znowu, już nie ze zdenerwowania, ale z wysiłku, odbijając kolejne pytania.

— To nie jest prawda. Pan celowo przeinacza nasze słowa. Nie zwalczamy żadnej religii, mogę to stwierdzić z całą stanowczością. Przeżycie religijne jest prywatną, wręcz intymną sprawą, do której każdy ma prawo i którą zawsze należy uszanować. Uważamy tylko, że nic powinno się tego przeżycia narzucać ani czynić z niego ideologii. A zwłaszcza, że nie należy tego, co ma swoje miejsce w kościele, przenosić do życia publicznego ani dostosowywać norm społecznych do zasad jakiejś jednej, konkretnej religii, która nigdy nie jest akceptowana przez wszystkich.

— Dobrze, że pan poruszył ten temat. To doskonały przykład, jak kurczowe trzymanie się anachronicznych nakazów sprzed tysiącleci może hamować zmiany, będące oczywistym wymogiem rozwoju cywilizacyjnego. Proszę sobie uświadomić dwie rzeczy: ludzkość zniszczyła swoje naturalne środowisko, zmieniła je całkowicie. A zarazem zdołała opanować inżynierię genetyczną do stopnia umożliwiającego jej kontrolowanie populacji, czyli zaradzenie skutkom zmiany środowiska. Świata grożą klęski przeludnienia i głodu. My, w Polsce, żyjemy na terenie największego skażenia w całej Europie. Czy panowie wiecie, ile rodzi się u nas dzieci kalekich, potworków niezdolnych do życia? (Rzut oka na monitor. Po tym musieli zamknąć gęby.) Pan uważa, że oczywiście powinni się urodzić i męczyć, stanowiąc nieznośny ciężar dla rodziców i całego społeczeństwa, bo tak będzie „humanitarnie”. A jedyny powód, dla którego tak ma być, to że tak było zawsze i archaiczne zasady z czasów koczowniczych plemion, przeganiających kozy i wielbłądy pomiędzy Egiptem a Babilonem.

— Ależ oczywiście, że już dzisiaj jesteśmy w stanie to wiedzieć! (znowu monitor — zwięzłe, przekonujące streszczenie osiągnięć światowej nauki.) Panowie próbujecie wmówić, że humanitarne jest to, co jest zgodne z naturą. To nonsens! Natura to okrucieństwo, to pożeranie słabszych przez silniejszych, dżungla. Wszystko, co w człowieku najlepsze, jest zaprzeczeniem natury. Natura nie liczy się z cierpieniem, działa na zasadzie wielkiej liczby — niech się urodzi milion dzieci, to nic, że połowa umrze, a z pozostałych część okaże się jednostkami patologicznymi. Weszliśmy w XXI wiek. Gdyby przyjąć taki styl myślenia jak panowie, to wszyscy powinniśmy siedzieć dotąd w jaskiniach.

— Rola mężczyzny także się w ostatnich dziesięcioleciach zmieniła. Nie ma żadnego powodu, dla którego kobieta ma być dłużej skazaną na podtrzymywanie gatunku kosztem siebie samej i swojego życia. Najwyższy czas, żeby przestała być przeznaczoną do rozrodu samicą, a stała się pełnoprawnym człowiekiem. I tu jest, przy okazji, odpowiedź na pytanie widza, które cytował pan prowadzący: Ruch Wyzwolenia od fizjologii. Od tej zwierzęcej fizjologii, która sprawiła, że historia ludzkości jest nieprzerwanym splotem zbrodni i nieustającym pożeraniem słabszych przez silniejszych.

Zwijąłem się tak z pół godziny, przy czym głównie chodziło o aborcję i religię, dwa punkty programu pind, które budziły najwięcej sprzeciwów. I na które Dołka, jak wszystkie aktywistki, reagowała niczym pies Pawłowa. Aż miałem w oczach mroczki od wysiłku, musiałem ją cały czas trzymać na maksymalnym wzmocnieniu, żeby nie dostała piany na pysku i nie wyskoczyła z jakimś „upokarzającym rozrodem” czy inną pindowską nowomową.

Czekałem na jakieś naprawdę dobre pytanie. Liczyłem na nie w ostatniej godzinie, przy telefonach od widzów. Ale trafiło się nieco wcześniej, przy pytaniach z sali. Ostrzyżona pod donicę starucha, poczerwieniała i zapluwająca się z podniecenia. Zdaje się, że należała do stałych bywalców cotygodniowego Studia Wyborczego. Wiedziałem, że to to, co trzeba, już po jej pierwszych słowach, w których nazwała Dołkę „żydowską esesmanką”.

Zmusiłem dziewczynę do gorzkiego, pełnego rezygnacji uśmiechu i bezradnego rozłożenia rąk.

— No cóż — oznajmiła ponuro. — Zdemaskowała nas pani. Oczywiście, jesteśmy ludobójczym spiskiem, śnimy po nocach o zdemoralizowaniu i biologicznej eksterminacji narodu będącego ostoją Prawdziwej Wiary, a całym tym interesem rządzą Żyd, Czarownica i Diabeł we własnej osobie. Niestety, czułam, że to się tak skończy, i że Prawdziwi Polacy bezbłędnie rozszyfrują nasze rzeczywiste zamiary!

Niemal słyszałem ten chóralny wybuch śmiechu przed tysiącami telewizorów. I właśnie w tej chwili zacząłem rozumieć Rafała.

Rafał

Tak, właśnie wtedy poczułem pierwszy raz, jak może uskrzydlić i upoić poczucie, że ma się władzę nad myślami hołoty. Posmakowałem tego. A to jest jak narkotyk. Uświadamiasz sobie, że nie jesteś jednym z tych szarych, przeciętnych pętek, snujących się po świecie z nosami przy ziemi i węszących za forsa, gorzałą i bolcowaniem. Możesz wleźć im do mózgow, sprawić, że będą rechotać z tego, co każesz im uważać za śmieszne, i całym sercem bronić każdego kitu, jaki im wciśniesz.

Można poczuć się Bogiem. A to jest cholernie przyjemne uczucie. Zdarzało mi się to potem wiele razy: na różnych przyjęciach, od przypadkowo spotkanych ludzi, słyszałem nagle swoje własne słowa. Swoje, rodzone farmazony, które łyknęli bezwiednie gdzieś w druku albo na fonii i powtarzali je z zachwytem, zadowoleni, że mają przed sobą kogoś, komu mogą czym prędzej przekazać objawienie, umożliwić mu dołączenie do grupy tych lepszych, mądrych, co to wszystko dobrze wiedzą. Niektórzy potrafili mnie przekonywać, że jest jak jest, postęp ma swoją cenę, konieczność, trudno, tak zawzięcie, że gdybym sam nie wymyślał ich argumentów, to chyba bym uwierzył.

Zacząłem przyglądać się uważniej szefowi. Niewiele o nim wtedy wiedziałem. Wysoki, dość wątłej budowy (nigdy nie nosił koszul z krótkim rękawem, a najchętniej luźne marynarki, mocno podwatowane w ramionach), z resztkami włosów, gdzieś między trzydziestką a czterdziestką — bliżej tej drugiej. Okulary, pożółkłe od tytoniu zęby, z lekka obwisłe podgardle i grube wargi, na których zawsze gościł ironiczny, jakby drwiący grymas. Mówił zazwyczaj krótkimi zdaniami, jakby wypluwał słowa, które trzymane w ustach przejmowały go obrzydzeniem. Najchętniej zresztą cytował; Bóg jeden wie, kiedy się zdążył tyle naczać i jakim sposobem to wszystko pamiętał. Plotka głosiła, że swego czasu próbował pisać, ale dla kawiarnianego światka literatury ta jego pisanina była zbyt skomercjalizowana i niepoważna, a dla publiki zbyt trudna. W każdym razie musiał sobie dać z tym spokój dość dawno, bo poruszał się w polityce ze zręcznością i swobodą świadcząca, iż siedzi w tym już od lat.

Co jeszcze? Pił. Pił w sposób dla nikogo nie zauważalny; wydawało się, że ten luźny, pełen lekceważenia sposób bycia jest jego normalną cechą, a nie efektem niewielkiej, lecz stale uzupełnianej w zaciszu gabinetu dawki alkoholu, krążącej mu w żyłach. O tych, jak je

nazywał, dopalaczach dowiedziałem się tylko dlatego, że w pewnym momencie przestał się przede mną z tym kryć. W ogóle, co dotarło do mnie z pewnym opóźnieniem, traktował mnie wyjątkowo. Jak ulubionego ucznia.

W stosunku do innych wyraźnie dbał, by zrobić na nich wrażenie gościa akurat takiego, za jakiego chciał uchodzić. Do końca nie udało mi się dowiedzieć niczego o jego życiu prywatnym, a tym bardziej zdobyć się na odwagę, żeby go o to zapytać. Tego, co szeptały sobie na ucho co poniektóre sekretarki, traktować poważnie nie sposób, chociaż fakt, że wszystkie kobiety, zarówno w Biurze Wyborczym, jak i w Wydziale Propagandy, sprawiały wrażenie, jakby dobrano je wyłącznie na wygląd. To zresztą do niego pasowało: świat jest podły, ale niech przynajmniej będzie ładny.

Być może w tych babskich pogaduchach było coś z prawdy, a może panienki tylko kompensowały sobie niespełnione zachcianki. Mimo nieszczególnie w sumie efektownej postury potrafił sobie radzić z babami, miał gadane jak mało kto. Z drugiej strony sprawiał wrażenie człowieka, któremu najwięcej radości dawało samo doprowadzenie niewiasty do stanu rozgotowania na miękko. Oczywiście nie wiem na ten temat nic pewnego.

Gdzieś po wyborach zorientowałem się, że Rafała po prostu bawi wodzenie głupszych od siebie za nos. Bawi to może nawet za mało powiedziane. Nawrócenie rodaków na ideologię pind i sprawienie, by rzucili się pod ich przewodem budować nową, rajską epokę, musiał uważać za najlepsze z możliwych udowodnienie swojej wyższości nad hołotą. Ja osobiście nie miałbym zresztą co do niej wątpliwości. Można się tylko było zastanawiać, dlaczego facet z takim łbem został w tym zasyfionym kraju.

Oczywiście, później miało się okazać, że wszystko to jest bardziej skomplikowane, niż myślałem.

Trzy istotne przyczyny

Pierwszą okazję, by dowiedzieć się o szefie czegoś więcej, miałem, gdy oznajmiłem nieopatrznie, że zamierzam pracować dla pind tylko do wyborów.

— Nie wygłupiaj się, miody człowieku — rzekł z irytacją. — To nie jest rwanie truskawek czy inna praca sezonowa.

Pokiwałem głową, uznawszy w duchu, że najlepiej będzie odłożyć sprawę na później. Ale nie dał się tym zbyć.

— A właściwie dlaczego? Masz gdzieś lepsze widoki?

— Nie, nie o to chodzi. Chcę... chcę się ożenić.

Zbaraniał.

— Ożenić się? W kościele, tak? Z organami, świecami, kobiercem i zapłakanymi mamusiami? A potem mieć dzieci?

— Tak, w kościele. Taki mam układ.

— Układ — powtórzył i przeciągnął dłoń po wysokim, sięgającym aż potylicy czole. — Z tą brunetką... Magdą, tak? Sympatyczna laseczka, owszem. Ale żeby się od razu zenić? Myślisz, że jak was ksiądz pobłogosławi to wam będzie lepiej wychodzić w łóżku, czy jak? A może ona ci bez tego nie chce dać?

Przez moment miałem ochotę rzucić się na szefa z pięściami; powstrzymała mnie myśl, iż pokazałbym mu w ten sposób, że przypadkiem trafił w sedno.

Roześmiał się nagle.

— Przewodnicząca chyba by pękła, gdyby to słyszała! Ożenić się i mieć dzieci! Cholera, fizjologia jest nie do zwalczania. No, ale pęknięcie tej larwy nie jest aż tyle warte, żebym tracił na to konto najlepiej się zapowiadającego pracownika — spoważniał gwałtownie. — Przykro mi, ale to niemożliwe. Musisz jakoś przekonać swoją niewiastę, żeby żyła z tobą na kocią łapę.

— Niemożliwe?

— Z trzech przyczyn. Dwie są mniej ważne, trzecia zasadnicza. Pierwsza to ty. Małżeństwo to piękna, stara tradycja i nie ma sensu robić z niej szopki. Ten układ, skądinąd prawidłowy, polega na tym, że bierzesz kobietę pod swoją opiekę i stajesz się za nią odpowiedzialny. Nie chciałem cię urazić, Alek, ale na ile cię znam, nie można ci powierzyć nawet morskiej świnki. Zwłaszcza że po odejściu stąd byłbyś wszędzie spalony. Chyba że myślisz zostać utrzymankiem własnej żony. To częste. Tak zwany związek partnerski — westchnął ciężko.

— Przykro przyznawać pindom rację, ale niestety, mężczyzna to zwierzę wymierające. Cywilizacja techniczna i jej regulacje społeczne wykończyły go na amen. W dzisiejszych podłych czasach nie ma już facetów, którzy zostawiali babę przy dzieciach, a sami szli z maczugą na mamuty albo z pożyczonymi pieniędzmi zakładać biznes. Zastąpił ich zniewieściały niedojda, bezwolny, nieodpowiedzialny, któremu ze wszystkich męskich atrybutów zostały tylko jaja.

Czasami potrafił być ujmująco uprzejmy.

— Druga przyczyna to ja. Nie po to cię uczę tej roboty, żebyś ją rzucał, bo się akurat masz fantazję żenić.

— A trzecia?

— Układ. Układ, w który wlałeś i z którego, do ciężkiej cholery, powinieneś sobie zdawać sprawę. Podpisałeś kupę papierów, wiesz o Dolce i innych, znasz mnóstwo spraw będących wyłączną własnością pind. Założmy, że jednak uznasz się za odpowiedni materiał na ojca rodziny i że ja cię puszczę. Ale pindy nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Za dużo wiesz. Zdaj sobie sprawę, że wszedłeś już w dorosłe życie. Chyba, że chcesz przysporzyć światu jeszcze jedną zapłakaną wdowę.

Problem z szefem polegał na tym, że nigdy nie było wiadomo, kiedy mówi poważnie, a kiedy kpi sobie z człowieka w żywe oczy. Uznałem, naturalnie, że tym razem to drugie.

— Nie chcę o tym słyszeć — oznajmił. Umówmy się, że masz czas do wyborów. Jak przez te parę miesięcy ci nie przejdzie, zgłoś się, wyjaśnię ci szczegóły sprawy. A teraz — pokazał mi dyskretnie drzwi gabinetu — wybacz, ale mam dużo pracy. Ty zresztą też.

Most

Do Góry Kalwarii droga była czysta, jeśli nie liczyć pijanego chłopca na nieoświetlonym traktorze pod Kawęczynem. Rafał wymanewrował w ostatniej chwili. Nawet nie zaklął. Normalne przyjemności nocnej jazdy bocznymi drogami — lepiej władować się na jakąś furmankę, niż na patrol. Nie mówiąc już o wjazdach na międzynarodowe szosy, przez które nie ma możliwości prześlizgnąć się niepostrzeżenie, bez pokazania prawa jazdy i karty wozu, których numery natychmiast zostałyby zanotowane w pamięci komputera.

Przejeżdżamy przez senną, zasyfioną miejscinę, skręcając na Warkę. Ale Rafał nie trzyma się tej drogi długo. Zaraz za jednostką wojskową odbija w lewo, w kierunku Wisły.

W ciemności przed nami, zanim jeszcze zdołały ją rozproszyć światła reflektorów, widać dwa czerwone punkciki. Bariera, zsunięta dla wygody na pobocze. Obok, tuż koło wjazdu na most, zaparkowany radiowóz. Zwalniamy.

Znowu ten strach. Obracam się. Magda śpi, pół siedząc, pół leżąc na miękkim, tylnym siedzeniu. Słaba poświata wewnątrz samochodu czyni jej odrzuconą na oparcie twarz niemal kredowobiałą.

Powinna spać, po tym wszystkim. Nabierać sił. Bóg jeden wie, jak bardzo będzie ich potrzebować. Przez myśl przemyka obraz małego mieszkanka Magdy w bloku na Kabatach, kiedy wróciłem tam następnego dnia po przewiezieniu jej do willi Rafała. Prosiła jeszcze o parę rzeczy. Znalazłem je bez trudu. Wszystko leżało na wierzchu.

Wybite z zawiasów drzwi, wywalone szuflady, rozrzucone książki, rozbite szyby regałów. Lampka, która przyświecała naszym czułym szeptom, stłuczona i rzucona na podłogę, w kłęb poszarpanych papierów, ubrań, podartych narzut i zasłon. Szczątki roztrzaskanego o ścianę krzyża, potłuczone szkiełko obrazka, nad którym ktoś pastwił się metodycznie drąc na strzępy smutną twarz Matki Boskiej.

To nie byli gliniarze. Oni po prostu pracują, wykonują swój zawód, który ich ani ziębi, ani grzeje. Nie chciałoby się im z taką furją i wściekłością demolować mieszkania, w którym nie było niczego, co musieliby znaleźć. A jeżeli, to załatwiliby sprawę do końca, zostawiając kogoś, kto by mnie zwinął. Nasze dzielne ochotniczki, seksowne, przeszkolone w samoobronie laleczki, szczęśliwe, że jakaś swołocz zakapowała im nierejestrowaną i że mogą własnymi pazurami powalczyć trochę z zabobonami i klerykalnym ciemnogrodem. Każda krowa na pewno wierzy święcie, że właśnie ten ciemnogród odpowiada za wszystko, co jej się w życiu nie udało.

Nie mówiłem o tym Magdzie.

Wyciągam rękę ponad oparciem fotela i budzę ją delikatnym uściskiem dłoni. Lepiej tak, wyrwana nagle ze snu mogłaby coś palnąć. Patrzy na mnie, od razu z całą przytomnością. Siada, podciąga okrywający nogi koc, tak, aby zakryć jego rąbkami zaokrąglony brzuch. Kiwam lekko głową, wciąż ściskając jej palce — nie bój się. Nie bój się, dobry jestem. Sam mam pełne portki.

Rafał na szczęście nie. Hamuje przy znudzonym gliniarzu, od razu opuszczając boczną szybę, i zanim ten zdążył porządnie zaszalutować, podaje mu prawo jazdy oraz swoją legitymację w białej, cielejącej skórce.

— Dobry wieczór — mówi. — Światła, kierunkowskazy?

— Nie, nie — mamrocze gliniarz. — Wie pan, to tak... eee, kontrola dokumentów.

— Słusznie, słusznie — rzuca Rafał tonem, którego zwykła używać na zebraniach pani przewodnicząca. Gliniarz przygląda się przez chwilę legitymacji, spod daszka czapki lustrując pobieżnie wnętrze toyoty.

Zgodnie z obowiązującą procedurą powinni teraz zażądać karty wozu, sprawdzić numery samochodu, wrócić do radiowozu, narażając się na przykre słowa od drzemiącego tam zmiennika, wpisać to wszystko w komputer i sprawdzić, czy samochód nie jest kradziony albo poszukiwany. A przy okazji zostawić gdzieś ślad, że tego a tego, o tej a tej, w tym a tym miejscu ten właśnie wóz z tym właśnie kierowcą przejeżdżał przez most, na którym wskutek ogólnie znanego zacoiania tej części wspólnego europejskiego domu nie postawiono dotąd normalnych, półautomatycznych rogatek.

Kupa roboty. A czy facet w takiej gablocie, z taką legitymacją w garści, wygląda na złodzieja samochodów albo poszukiwanego? Jakaś fisza, wiezie panienkę, jak nic jakąś aktywistkę. Pewnie jadą gdzieś w Polskę tłumaczyć narodowi, że zarządzenia władz to smutna konieczność i nie ma co próbować rozrób. Mnóstwo się teraz kręci różnych działaczy i agitatorów.

Zresztą gliniarzowi wszystko to zwisa nacią. Bo to niby mógł wiedzieć, jak brał tę robotę, co się w kraju porobi?

Oddaje papiery i wykonuje dwoma palcami jakiś dziwaczny ruch koło czapki, pokazując, by jechać dalej. Toyota prześlizguje się zgrabnie po żelaznej pajęczynie, rozpiętej nad lśniącą głęboką czernią taflą cuchnącej wody.

— W złych razach szabla a rezolucja to grunt — Rafał uśmiecha się delikatnie kącikami ust. — Opatrzność czuwa. Nie nade mną, oczywiście. Nad wami.

— Miałeś rację — mówię. — Moim gratem byśmy tak łatwo nie przejechali.

Krzywi tylko usta, jakby fakt, że miał rację, był zbyt oczywisty, by w ogóle o nim wspominać. Pewnie tak. Powiedziałem to tylko dlatego, że strasznie mi się teraz chce gadać. Bolesny ucisk ulotnił się z żołądka, pozostawiając błogie odprężenie, graniczące z euforią.

Mam ochotę rozprawić z ożywieniem, opowiadać kawały i śmiać się z nich samemu, tym głośniejsze, im są głupsze.

Tylko o czym tu gadać, skoro wszyscy troje już wszystko dobrze wiemy?

Rafał obraca się na chwilę.

— Niech pani śpi — mówi do Magdy. — Teraz mamy spokój aż do Lublina.

Kiwa tylko głową. Po chwili jej śnieżnobiała twarz znowu odchyła się na oparcie siedzenia. Wstyd się przyznać, ale ja bym teraz nie zasnął w żaden cudowny sposób.

Z ust Rafała przez długi czas nie schodzi ten lekki półuśmieszek. Obraca się jeszcze raz, przez moment patrzy ciepło na zasypiającą Magdę, jak na biedne, zagubione dziecko, któremu trzeba pomóc.

Magda

Tak naprawdę Magda wcale nie przypomina zbłąkanego dziecka. Nigdy nie przypominała. Tylko z pozoru — w środku jest twarda jak pień starego drzewa. Kto jak kto, ale ja to wiem. Cholera, na dobrą sprawę to ona powinna się mną opiekować, a nie odwrotnie.

Może właśnie to tak mnie do niej przykuło? Właściwie nigdy się potem nie wie, na czym polegał ten czar, co go sprawiło. Nie kocha się za coś ani dla czegoś. Po prostu to przychodzi, jak dar od Boga albo przekleństwo losu. A może nieuchronny efekt biologii i chemii.

Z początku wydawało mi się, że Magda robi wszystko, by sobie utrudnić życie. Tak to przynajmniej wyglądało. Spotykaliśmy się często na uczelni. Mówiła niedużo, nie chichotała, nie udzielała się towarzysko. Zawsze wymawiała się brakiem wolnego czasu. W ten sposób zarobiła sobie na opinię zarozumiałego kujona, patrzącego na wszystkich z góry. Niektóre z dziewczyn sugerowały niedwuznacznie, że Magda preferuje własną pleć i żaden z kolegów nie mógł w takich sytuacjach zaprzeczyć pod słowem honoru. W ogóle dziewczyny wygadywały o niej niestworzone historie. Baby z reguły są jeszcze bardziej od facetów bezlitosne dla takich, co odstają od stada.

Zbliżyliśmy się jakoś tak przypadkiem. Może korciło mnie wyzwanie, a może przyszła mi do głowy z braku innych możliwości — z moim talentem do niewiast nie mogłem się uskarżać, że zajmują mi zbyt wiele czasu — w każdym razie zaczęliśmy się spotykać. Sam nie zauważyłem, kiedy wsiąknęłem beznadziejnie. Wcale nie była wyniosła, potrafiła się śmiać i cieszyć wspanialej niż ktokolwiek inny. Ale tylko przy mnie. W towarzystwie natychmiast milkła i straszyla się: ja wiedziałem, że po prostu boi się innych ludzi, a raczej boi się, by nie spotkała ich z jej strony jakaś przykrość. Ale inni tego nie wiedzieli i ta jej ochronna skorupka drażniła ich, prowokowała niechęć, a to z kolei czyniło Magdę jeszcze bardziej nieufną. Wiele czasu zmarnowałem na próby oswojenia jej z towarzystwem, w końcu wyszło na to, że najlepiej czuliśmy się sami ze sobą. Doszły do mnie słuchy, że stałem się zarozumiały.

Zastanawiałem się często, jakim cudem właściwie mnie samemu udało się przez tę nieufność przebić. Może ze względu na moją wrodzoną pierdołowatość. Gdy próbowałem się do niej pierwszy raz dobrać i pierwszy raz poczułem, jak sztywnieje pod moim dotykiem, pomyślałem sobie: nic, poczekamy, jakąś się ułoży. Gdybym był zdolny do podjęcia męskiej decyzji, albo przynajmniej przewidział, ile się przez jej niepodjęcie namęczę, zwałbym z krzykiem. A potem już tylko brnąłem coraz głębiej w sytuację bez wyjścia. Kochałem ją. Chciałem jej. Ale nie potrafiłem zmusić się, by okazać jakąkolwiek stanowczość, może ze strachu, żeby nie stracić i tego, co już miałem, a bez czego — zacząłem to sobie uświadamiać — męczyłbym się jeszcze bardziej.

Od pierwszego razu wiedziałem, że to nie jest oziębłość, że włazi pomiędzy nas ktoś, z kim nie mam szans się mierzyć. Magda była bardzo wierząca. Nie potrafiłem znaleźć na to kontrargumentu.

Z początku i tak by nie było jak: u mnie zgredzi, u niej ciotka. Ta ciotka robiła pod siebie ze starości, nie kojarzyła nic, i gdyby nie Magda dawno już znalazłaby się na swoim miejscu, to znaczy w państwowej umieralni. Odwdzięczała jej się bluzgając od najgorszych, wzywając policję (znali ją na wszystkich komisariatach) oraz sąsiadów na ratunek, że ta kurwa zamyka ją w domu, okrada i w nocy posypuje ekstra—proszkiem, żeby szybciej umarła. Raz tam nieopatrznie wlałem i ciotka, oczywiście, z właściwą swemu wiekowi przenikliwością odkryła sens spisku: jej dręczycielka sprowadziła sobie fagasa, któremu sprzeda mieszkanie. Żeby się zemścić, narobiła Magdzie do torebki.

Potem już nie próbowałem do niej przychodzić. „To jest mój krzyż” — uśmiechała się gorzko. — „Przepraszam, ale poradzę sobie sama”. Nie wiem, dlaczego niby jej, w końcu to była dla Magdy jakaś dziesiąta woda po kisielu. I może jestem skurwiel, ale kiedy ta stara cholera wreszcie walnęła w kalendarz, że szczęścia schlałem się jak robaczek świętojański. Pogrzebowi i obsługa cmentarza nigdy nie widzieli równie tryskającego radością klienta jak ja, kiedy pomagałem Magdzie załatwiać niekończące się formalności i użerać się z hienami.

A może widzieli. Problem mieszkaniowy ma na ludzi fatalny wpływ, jak stwierdził przy okazji Rafał.

Radość była przedwczesna. Dawno już zdecydowałem się ożenić, ale kiedy kochaną ciotkę wreszcie szlag trafił, przeszkodą okazała się żałoba. A potem udało mi się złapać robotę u pind. To była jakaś szansa ustawienia się w życiu, nie chciałem jej zmarnować.

A jednego z drugim nie szło pogodzić.

Rozstanie nie wchodziło w grę, ślub też, wariant najbardziej oczywisty — odłożenie formalności na później — w ogóle nie nadawał się do rozpatrzenia. Czułem, że jak to potrwa dłużej, to wreszcie mnie rozsądzi.

Robota

Na szczęście dla swojej stabilności psychicznej mam od Bozi jeden dar: głębokie wewnętrzne przekonanie, że wszystko się zawsze w końcu jakoś ułoży i byle nie myśleć o kłopotach, to i one o człowieku zapomną. Żeby więc zająć czymś szare komórki, młóciłem robotę z tak wściekłą kurwicą, że po paru tygodniach stałem się obiektem wzmożonego zainteresowania ze strony szefa. Przeskoczyłem na pierwszą samodzielną sprawę — ten proces pind przeciwko kobiecie, która nie chciała wyskrobać dziecka, chociaż lekarze przewidywali, że może urodzić się chore. Oczywiście nie ja sprawę nakręcałem, nie ja wnosiłem kolejne odwołania do kolejnych instancji, oddalających pozew z braku znamion przestępstwa, ani nie sprowadzałem postępowych idiotek z Wąbrzeźna, Włoch i Niemiec, żeby manifestować święte oburzenie pod sądami. Robiłem rozgłos wokół sprawy, łapałem dojścia do dziennikarzy, sondowałem układy, znajdując optymalne sposoby wpływania na nich, kupowałem różnych utytułowanych kretynów i pisałem dla nich mądre wystąpienia. Ta pinda, która rozebrała się na fasadzie Sądu Najwyższego, to też był mój pomysł. Uważam, że z fachowego punktu widzenia świetny, obleciała wszystkie europejskie telewizje i okładki czasopism, a stamtąd rykoszetem powtórzyła to samo w kraju. Całą sprawę zgasiłem potem na polecenie szefa w trzy dni, pojęcia nie mam, czy to dziecko urodziło się w końcu zdrowe, ale smrodek poszedł w naród, robiąc dyskretne tło pod kampanię wyborczą.

Rafałowi rozegranie sprawy przypadło do gustu. Tym sposobem wpakowałem się w potrzask, jakbym miał jeszcze nie dość poplątany życiorys. No, powiedzmy, że wpakowała mnie własna pazerność z jednej a drobna pomyłka szefa w ocenie moich motywacji z drugiej strony. Najpierw było parę rozmów, potem dwa tygodnie testów i szkolenia aż w końcu zaczęła się prawdziwa robota i zarabianie prawdziwych pieniędzy.

„Pojeździsz sobie na aktywistkach” — rzucił Rafał. Chodziło naturalnie o Dolkę i pozostałe egzemplarze. Tak to się u nas nazywało: „jeździsz jutro na Ance”, „w tym tygodniu jeździmy

na zmianę”. Nie wiem, kto wymyślił ten patent, ale działał bezbłędnie. Panienki zrobiły się wyszczekane i cwane jak jasna cholera. Osobiście wiedziałem o trzech, ale pewnie było ich więcej. Nas też było tylko kilku, z dość zrozumiałych względów. Zresztą, nie musieliśmy przecież wspomagać ich babskiego mózgowia bez przerwy. Kiedy nie występowały publicznie, odpowiadał za nie wydział wewnętrzny Ruchu. Mówiło się „ochrona”, co miało wszelkie znamiona prawdopodobieństwa — bądź co bądź w ramach gonienia Europy przykre przygody zdarzające się ludziom zaangażowanym w politykę zaczęły u nas powoli wchodzić w stałą praktykę — ale bardziej chodziło tu o pilnowanie. Ktokolwiek się tym zajmował, babsztylę pani przewodniczącej na pewno miały u niego tyle samo do gadania, co u nas.

Chociaż może nie — raz zdarzyła im się fuszerka niemalże popisowa. I to właśnie zaraz po debacie. Jakiś klient siedzący nocą nad sobotnio—niedzielnym wydaniem „Życia Warszawy” wpadł na pomysł, żeby podzwonić po programie na prywatne telefony uczestników — cholera go wie, skąd miał numery — i skłonić ich do krótkiego podsumowania dyskusji oraz zwięzłej oceny sytuacji, po kilka zdań na pierwszą stronę. Dołka zachowała się jak słodka idiotka, którą zresztą była, wyjąwszy okresy aktywowania neurowszczepów. Naplotła, że przekonała się po raz kolejny, iż w krytycznych sytuacjach nigdy nie zawodzi jej natchnienie, bo ożywia ją duch wielkiej misji, to znaczy wyzwolenia świata w ogóle a Polski w szczególności od samczej agresji, brutalności i podłości, czego wyzyskiwane kobiety dokonają, jak się wezmą w kupę i zrobią kobiecą rewolucję, i ta chwila się zbliża, i będzie raj i kwiatki w każdym wazonie, amen. Litościwy gryziپیórek zrobił z tej sieczki na łamach parę zgrabnych zdaneł o niczym, w sumie nic wielkiego się nie stało, ale mogło; o całej tej rozmowie dowiedzieliśmy się dopiero z gazety. Rafał rozpromienił się jak stary alkoholik na widok oszronionej flaszki, po czym natychmiast rzucił się dzwonić do Berlina i robić obciach pani Wsadzaj. Sądzę że z niezłym skutkiem. Naturalnie wiedział, że to nie jej wina, ale nie mógł przepuścić takiej okazji do zegrania się na babie za jej nalot na nas zaraz po debacie.

Bernadetta Wsadzaj

W ogóle szef Biura Wyborczego i przewodnicząca polskiego oddziału Europejskiego Ruchu Wyzwolenia nienawidzili się z całej duszy; tak jak mogą się nienawidzić tylko cynik i fanatyczka, robiący z krańcowo odmiennych powodów dokładnie to samo. Nie obrzucali się obelgami, rzecz jasna, a gdy dochodziło do wymiany przeciwstawnych zdań, odbywała się ona w tonie zmijowatej uprzejmości. Ale i tak każdy doskonale wiedział, że pani Bernadetta oddałaby pół tego, co jej jeszcze zostało z życia, żeby Rafała i wszystkich samców, których sobie dobrał do współpracy, trafił najjaśniejszy szlag.

Przed debatą miałem szczęście nie znać Bernadetty Wsadzaj osobiście. Wiedziałem o niej mniej więcej tyle samo, co wszyscy. Żyła sobie babina trzydzieści parę lat, wyrabiając wierszówkę w różnych szmatławcach, zaliczając parę rozwodów i nie mogąc się zrealizować. Aż pewnego dnia poczytała sobie Margaret Mead czy czegoś w tym stylu i doznała Objawienia. Zrozumiała wszystko i od tego czasu nie potrzebowała już do szczęścia niczego prócz szerzenia swej wiary.

Najbardziej przerażające było w tej kobiecie to, z jak niesamowitą konsekwencją potrafiła do tej wiary dopasować absolutnie wszystko. Żadnych wątpliwości, żadnych rozterek, stuprocentowa impregnacja na wszelką argumentację. Do tego natura wyposażyła ją w upór inflanckiej kobyły oraz niewątpliwy talent organizacyjny. Kiedy wylano ją z „Solidarności”, która właśnie krzepła w przytulne struktury i rozmaite ciotki rewolucji przestawały jej być potrzebne, zaangażowała się w ruch feministyczny. I to tak, że wkrótce zaczęła przyprowadzać swoje szefowe o niejaki niepokój. Ówczesne polskie feministki to było towarzystwo raczej kontemplacyjne i nieruchawe, więc pani Bernadetta i jej coraz liczniejsze, równie energiczne współpracowniczki, zaczęły po prostu rozsadzać dotychczasowy układ. Przypuszczam, że

ostateczne utracenie ustawy o zakazie aborcji było w dużej mierze jej osobistą zasługą. Na pewno w każdym razie zasłużyła się dla połączenia z zielonymi, czy raczej dla ich przyłączenia, i dla wejścia w strukturę europejską. A właściwie dopiero podłączenie się pod zachód spowodowało masowy przyływ zwolenniczek i, czego do końca nie potrafię pojąć, zwolenników. Na stanowisko przewodniczącej polskiego oddziału nie miała, praktycznie rzecz biorąc, kontrkandydatur.

Mapa Polski

Wparowała do gabinetu Rafała, gdy siedzieliśmy tam po debacie. Sami, bo swoją sekretarkę Rafał odesłał już do domu. Dochodziłem powoli do siebie — właściwie już doszedłem, ale udawałem znacznie bardziej zmęczonego niż w rzeczywistości. Mieliśmy do pogadania o dalszej współpracy i po prostu bałem się tej rozmowy, toteż kiedy w sekretariacie rozległy się kroki, a po chwili w drzwiach pojawiła się pani przewodnicząca, w pierwszej chwili powitałem ją jak zbawienie.

Zamknęła za sobą starannie drzwi i wbiła w Rafała lodowate spojrzenie.

— Tym razem pan przesadził — wycedziła. — Zdecydowanie. Nie zamierzam tego tolerować.

— O, pani przewodnicząca! — uśmiechnął się szeroko. — Kto by się spodziewał! Proszę spocząć, cóż panią sprowadza o tak niezwykłej porze?

— Niech pan przestanie błaznować.

— To żadne błaznowanie. Po prostu uprzejmość. Może istotnie nie na miejscu — usadził się za biurkiem i spojrzał na mnie. — No cóż, porozmawiamy jutro. Wybaczysz.

Skinąłem skwapliwie głową, próbując skorzystać z okazji i czym prędzej zwać z gabinetu.

— Chwileczkę — osadziła mnie przewodnicząca. — To on wspomaga! Dolores w czasie dyskusji, prawda? — nie czekając na potwierdzenie ruszyła do ataku. — Dlaczego pozwolił pan sobie ignorować nasze sugestie? Jakim prawem? No, słucham?

Zwężone wściekłością szparki w makijażu, nakładanym chyba murarską kielnią, kipiały tak świętym oburzeniem, że aż odruchowo przycisnąłem się do oparcia fotela.

— No, wie pani — zacząłem niepewnie. — Miałem dziesięć monitorów. Wybierałem rzeczy najpotrzebniejsze w dyskusji...

— To ja odpowiadam za moich pracowników — poratował mnie Rafał. — Czy ma pani jakieś pretensje?

— Doskonale pan o tym wie! Tchórzostwo, kapitulancтво i wypaczanie ideologii naszego ruchu w oczach społeczeństwa! Robicie to już od dłuższego czasu, ale ta debata... Nie wolno wam stwarzać pozorów naszej zgodności z klerykałami ani traktować tak lekko kwestii rozrodu, rozumie pan? Zabraniam tego!

Uśmiechnął się szeroko pod lawiną decybeli.

— Pani wybaczy, ale podlegam bezpośrednio Radzie Europejskiej. Może pani, naturalnie, wystąpić o zwolnienie mnie.

Jakby nie wiedział, że robiła to z regularnością zegarka.

— Sądzę, że gdyby Rada była dokładnie poinformowana o pańskich poczynaniach...

— Rada jest dokładnie o nich informowana i to przez wiele niezależnych od siebie osób. I w pełni je aprobuje — westchnął ciężko. — Zapewne tracę czas, ale chciałbym pani uświadomić, że to jest polityka.

— Polityka — prychnęła gniewnie — to wasza, samcza zabawa. My nie zajmujemy się polityką, my burzymy wasz, męski świat i budujemy nowy.

— Znakomicie. W takim razie, skoro się co do tego zgadzamy, proszę zostawić politykę osobom bardziej kompetentnym. Jak pani dobrze wie, nie jestem wyznawcą. Jestem znawcą.

Fachowcem. Wynajęto mnie do konkretnego celu: pozyskania dla pani ruchu jak największego elektoratu. W tej chwili możemy liczyć na co najmniej 25% głosów...

— Dwadzieścia pięć procent! Gdyby nie fałszował pan naszego programu, poparłaby nas każda kobieta w tym kraju! A to jest grubo ponad połowę!

— Oczywiście myli się pani. Dlaczego miałyby was poprzeć? Bo ją chcecie wyzwać? A po co jej to? Normalna kobieta — zaakcentował mocno to „normalna” — wcale nie potrzebuje przedstawicielstwa w parlamencie. Potrzebuje chłopca, który robi jej dobrze, przynosi do domu dużo pieniędzy, kupuje modne kiece i potrafi przekonująco łąć, że tylko ją jedną kocha. Może pani liczyć tylko na dziennikarki oraz podatną na wszelką demoralizację młodzież. Co ma pani do zaoferowania żonom i matkom, których ich stan wcale nie frustruje?

— One się przebudzą — cały czas stała przy drzwiach, wzbraniając się przed zajęciem któregoś z foteli naprzeciwko biurka. — Wszystkie kobiety uświadomią sobie swoją siłę. Już niedługo.

— W porządku. Na razie się nie przebudziły. Do pani należy pozyskiwanie zapalonych bojowników sprawy. Ale o sukcesie nie decydują zapaleńcy. Decydują obojętni. Ci, którym wszystko zwisa aż do dna. To należy do mnie: sprawić, by milcząca większość przyjmowała działalność pani fanatyczek jeżeli nie za aprobatą, to przynajmniej biernie. Dobrze pani wie, że właśnie z tego powodu Rada Europejska wybrała na miejsce zadania pierwszego ciosu właśnie Polskę, chociaż na zachodzie ma znacznie większy stan posiadania. Tutaj ludzie są tak rozbici i ogłupiali, pozbawieni silnej, naturalnej elity, że połkną wszystko. Nawet kontrolę urodzeń. Wszystko, co kojarzy im się z zachodem i nowoczesnością.

Przewodnicząca przekonała się chyba wreszcie, że nie zdoła Rafała zabić ani nawet speszyć wzrokiem. Przysiadła między fotelami na stoliku do kawy. Nie było w tym geście śladu rezygnacji.

— Niech pan mówi dalej. To interesujące.

— Panią w każdym razie powinno interesować — skinął głową. — Hołotę trzeba urabiać stopniowo, powoli. Podrzucać jedno hasło po drugim, bo hołota ma to do siebie, że z natury obawia się wszelkich zbyt daleko idących nowości. Nie wszystko naraz. I nie wszystkim naraz. Najpierw pozyskać, nazwijmy to, inteligencję, potem stopniowo obezwładniać ciemniaków. Ta ideologia, która ma sankcjonować waszą działalność, niesie w sobie ogromną siłę. Jest w stanie powtórzyć sukcesy socjalistów. Tłumaczy wszystko, zwięźle jak amen, i nie pozostawia żadnej obrony, żadnej możliwości odwołania się do innego systemu pojęć. Potrzeba pięciu, sześciu lat, żeby przestawić na nią całe społeczeństwo. Najmądrzejszych się przekupi, nieco głębszych nawróci albo skłoni do udzielenia wystarczającego poparcia, pozwalając im zostawić sobie różne „ale” do okłamywania samych siebie — Rafał spoglądał w zamyśleniu na blat biurka. — Ale do tego jeszcze daleko. Na razie trzeba lawirować. Kościół, na przykład. Fundamentalna sprawa. Jasne, że nie można pogodzić katolicyzmu z mordowaniem dzieci — uniósł lekko dłoń w kierunku przewodniczącej, która po tych słowach aż zasyczała. — Dobrze, dobrze, nie jesteśmy przed kamerą. W każdym razie Kościół musimy rozbić. Tylko że to trzeba przygotować. Starcie sprowokowane już teraz, tak jak pani chce, mogłoby się skończyć porażką. Trzeba najpierw rozkruszyć podstawy siły Kościoła, skompromitować i ośmieszyć kler, odwołać się do ludzkich zawiści, wygodnictwa i rozkoszy, jaką daje motłochowi obalenie autorytetów...

— Nie pierwszy raz mówi pan tak, jakby sympatyzował z tym ciemnogrodem.

— Ja z nikim nie sympatyzuję. I staram się nie poddawać żadnym emocjom. Natomiast trochę się znam na religii, a zwłaszcza na historii Kościoła. To szczególna instytucja. Nic jej tak nie umacnia jak otwarte ataki i prześladowania. I odwrotnie, kiedy zostawić ją we względnych spokoju, traci wyznawców błyskawicznie. Katolicyzm to bardzo trudna religia, bardzo wiele wymaga. Zdecydowanie zbyt wiele, jak na przeciętnego człowieka. Jego siła jest u nas tylko dziedzictwem po komunizmie. Wie pani, skąd się wzięła? Stąd, że czerwoni

zdołali uprościć katolicyzm do jednego, łatwo zapadającego w pamięć hasła: prowadzić świętą wojnę z niewiernymi. Chodzić na procesje, zawodzić nabożne pienia i czuć się częścią wojującej o słuszną sprawę masy. Nasz, polski Bóg siedzi w kościele, tam się chodzi go okadzać, i rodacy cholernie sobie nie życzą, żeby wściubiał nos w ich prywatne życie. Polski katolicyzm... To jest kolos na glinianych nogach. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby większość wyznawców dała nogę z ziejących nudą ceremonii i zabrała się do budowania weselszego świata, pełnego blichtru, seksu i kolorowych neonów. Ja wiem, jak to robić. Kpić ile wlezie z tych wszystkich kartek na sakramenty, z kościelnej biurokracji, z pazerności proboszczów. Montować różne ruchy niby katolickie, rozmywające stanowisko religii. Ale atakować tego, co ludzie mają wbite w pamięć jako świętość, głównych haseł kultu, zwłaszcza maryjnego, nie wolno. Rozumie pani? W swoim czasie sami o nich zapomną. Nic na siłę. To będzie trwało.

Podniósł głowę, przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Siedziałem cicho jak trusia, bojąc się zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę.

— Tyle o strategii — podjął Rafał. — Teraz taktyka: zgodnie z dalekosiężnymi planami, musimy w najbliższym czasie restytuować cenzurę i wyposażyć ją w szerokie pełnomocnictwa. Obkom, skoro przegra w wyborach — a ma to jak w banku — i nie będzie miał szans upchać tam swoich ludzi, stanie na uszach, żeby do tego nie dopuścić. A pani jest za słaba, żeby przeprowadzić sprawę głosami swoich posłanek albo żeby zmontować wystarczający nacisk. Tego nie zrobimy bez błogosławieństwa z Miodowej. Dlatego właśnie, kolejna pani pretensja, kiedy trąbimy o zalewie pornografii, kładziemy nacisk nie na upokarzanie kobiety, bo panienkom za to, co robią, dobrze płacą, tylko na uprzedmiotowanie osoby ludzkiej i odzieranie jej z godności. Jest w programie sporo takich spraw, których nie przeprowadzi pani bez poparcia albo Kościoła, albo innych sił, które kiedyś tam, w dalekim planie, zamierzamy rozwalić. Proszę się pocieszyć, że kiedyś będzie pani miała nadwiślańską część wspólnego europejskiego domu do dyspozycji swojej i swoich wariatek z wałkami. Mniemam, że zbierze pani ich dość, żeby przy obojętności ogółu zdołać zrealizować każdy babski kaprys, jaki wam przyjdzie do głowy. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki na przykład ruskie nie pozbierają się do kupy i nie zechcą restytuować Imperium... Choć jest szansa, że wcześniej zachłysną się zachodnim stylem życia. W każdym razie ma pani na parę lat swoją robotę. A dusze Polaków — zakładając, że to zdegenerowane bydło coś takiego ma — musi pani zostawić mnie. Niech się pani z tym pogodzi, to nasza współpraca będzie się układać pomyślnie i bez zgrzytów.

Bernadetta Wsadzaj siedziała dłuższą chwilę bez ruchu; widać było, jak tłumiona wściekłość rozdyma powoli jej przywidłe cielsko, podchodząc do oczu. Wreszcie plasnęła energicznie pulchną łapą o stół i — dziwna rzecz, spodziewałem się wrzasku — zarechotała szyderczo.

— Już się pan obsadził we władzach ruchu, co? Na długie lata, jak słyszę?

— Po co się czarować? Skoro przybiegła tu pani osobiście, to znaczy, że moja nominacja na szefa Wydziału Propagandy wyszła ze sfery plotek i stała się ciałem. A pani zamierzała mi przedstawić swoje warunki, pod którymi skłonna jest się na to zgodzić, zanim się dowiem, że rzecz została już przesądzona. Bardzo dobrze, jest okazja ustalić pewne sprawy na przyszłość, i właśnie to robimy.

Nie dała po sobie poznać zawodu. Przeciwnie, wyglądała, jakby Rafał bawił ją serdecznie.

— Oczywiście, może się pani nie zgodzić. Skoro uważa pani, że Rada Europejska to banda głupków, podejmujących niesłuszne decyzje...

Cios na punkt, jak mawiają bokserzy. Dwie ostatnie rzeczy, jakie by pani Bernadetta mogła podważać, to nieomyślność Rady, wiodącej ludzkość ku rajskiemu szczęściu nowej epoki, oraz całkowita nieprzydatność Rafała dla Ruchu Wyzwolenia. Przez chwilę miałem wrażenie, że zdołał ją bardzo zgrabnie złapać w pułapkę.

Ale z ludźmi tego pokroju jest to absolutnie niewykonalne.

— Nie, wcale nie sędę, żeby Rada się myliła. Wręcz przeciwnie. Dopiero teraz jestem w stanie zrozumieć jej mądrość. Zbiorową mądrość mas kobiecych, które przestawią porządek świata z głowy na nogi. Panu się pewnie wydaje, że jest nie wiadomo jak sprytny, że może wodzić wszystkich za nos, naginać prawdę do swoich doraźnych, politycznych gier i puchnąć w poczuciu samczej siły, nadymać się swoją urojoną wielkością. Dobrze, niech pan tak myśli — pokiwała głową z szatańskim błyskiem w oku. — Niech pan w to wierzy. Nam to nie zaszkodzi. Takie zarozumiałe, zadufane w sobie samce są już i tak skazane i nic ich nie uratuje. Wasz czas się skończył, idziecie na śmietnik historii. My wychowamy innych mężczyzn, prostych i szlachetnych jak kobiety, rozumiejących ich siłę i znajdujących w nich oparcie. Ale póki jeszcze są takie... egzemplarze, niedobitki jak pan, dopóki zachowały zdolność do swoich matactw i oszustw, do swojej brutalnej agresywności — posłużą nam. Po prostu ich używamy dla naszej sprawy. Może pan to przyjąć do wiadomości albo nie, nic to nie zmieni. Wyżyłujemy z nich wszystko, dopóki będą nam potrzebne...

— A potem zlikwidujemy... — dodał grobowym głosem Rafał.

— Nie śmiałabym się z tego na pańskim miejscu — rzuciła i podniosła się energicznie. — A panu — dodała pod moim adresem — radzę dobrze pomyśleć. I nie starać się ślepo naśladować swojego szefa. Nie winie pana za poprowadzenie debaty, ma pan jeszcze czas na naukę. Egzamin może się odwlec, ale na pewno nastąpi.

— Klimakteryjne babsko — westchnął Rafał po długiej chwili, kiedy przebrzmiało już trzaśnięcie drzwi. Wyciągnął z biurka butelkę „Ballantine’a” i zażył kieliszek. Dokładnie tak: zażył, beznamiętnie, jakby było to mycie zębów. Nalał sobie drugą porcję i schował butelkę, nie proponując mi niczego najdrobniejszym nawet gestem.

— Ciekawe, w jaki sposób one będą mordować — zastanawiał się na głos, wyciągnąwszy się na fotelu i sącząc powoli zawartość kieliszka. — Rozumiesz — popatrzył na mnie — każdy obłęd wypracowuje swój charakterystyczny sposób zabijania. Torquemada palił na stosie, Niemcy, naród praktyczny, wymyślili komory gazowe i cały drobiazgowo rozpracowany przemysł wykańczania jak największej liczby ludzi jak najmniejszym kosztem. Odwrotnie niż komuniści: ci kochali ręczną robotę. Lubili każdemu skazańcowi z osobna pakować dziewięć gram ołowiu w łeb. Czuć, jak ofiara się szamocze, napawać się jej strachem, słyszeć jęk. I układać parę tysięcy trupów jednego przy drugim. — Zmrużył oczy, spoglądając w ścianę i uśmiechając się zimno. W zestawieniu z tym, co mówił, dawało to dziwny efekt. — Pindom chyba najbliższej byłoby właśnie do tego. Nasuwa się wbijanie obcasika prosto w serce. Nie, to zbyt niewygodne. W potylicę. O, tu — sięgnął palcami ku resztkę swoich włosów. — Ten punkt, dokładnie.

Wydawało mi się to absurdem. Bernadetta Wsadzaj, jej stuknięte ochotniczki i wizje z najlepszych czasów NKWD. Takie skojarzenie nie mieściło mi się w głowie. Czegóż wymagać od hołoty?

— No, gdyby ona miała takie możliwości... — zacząłem.

Spojrzał na mnie niedopitym, mętym wzrokiem człowieka, który na nic nie liczy, niczego się nie spodziewa i nic go nie dziwi.

— Ona będzie kiedyś miała takie możliwości — w jego głosie stanowczość mieszała się z rezygnacją. — Ona albo jakaś jej następczyni, bo babsko trochę za bardzo w to wszystko wierzy, może się zrobić w którymś momencie niewygodne. Powinieneś, kurwa, wreszcie zrozumieć, że ten zreformowany feminizm to naprawdę potęga. Niech się tylko upowszechni. Usprawiedliwi absolutnie wszystko. Co im przeciwstawisz? Boga i miłość bliźniego? Nie boisz się, że cię ludziska wyśmieją?

Nie, zdecydowanie nie odważyłbym się mówić o Bogu. Bałbym się, że mnie ludziska wyśmieją.

Ten trzeci

Magda, ona potrafiła mówić o Bogu tak swobodnie, jak zazwyczaj dziewczyny rozprawiają o fasonach kiecek albo o tym, kto z kim. Najdziwniejsze było, że wystarczyły jej do tego zupełnie normalne słowa. I kiedy w naszej rozmowie pojawiał się Bóg — a zdarzało się to często — nie ciągnął za sobą dymu kadzielnic, szelestu katechizmowych frazesów ani pogłosu odklepywanych pośpiesznie zdrowasiek.

— Ty nie wierzysz w Boga, prawda? — zapytała kiedyś. Niedaleko jej mieszkania, pomiędzy dwoma osiedlami, zachował się cudem żaloszny strzęp lasu, oszczędzonego dziwnym zrzędzeniem losu przez budowniczych blokowisk i stacji manewrowej metra. Na jego skraju pozostał pochylony, przegniły krzyż, z zębątem, blaszanym daszkiem nad wychłostaną deszczami figurą Chrystusa, strzegący nieistniejącej już polnej drogi. Przystawała tam często podczas naszych spacerów. Wtulała twarz w kołnierz i przyglądała się w zadumie zeschniętym kwiatom, wetkniętym do brudnego stoika po majonezie.

— Nie — odpowiedziałem, przypatrując się splekanym belkom. Gdyby sformułowała to: „Ty wierzysz w Boga, prawda?” też bym się z nią pewnie zgodził. A zaraz potem przestraszyłem się, że te słowa się jej nie spodobają, i dodałem szybko: — Nie wiem, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

To nie jest rzecz, nad którą trzeba się zastanawiać. Każdy ma tę chwilę, kiedy on zwraca się wprost do niego. I wtedy mówi się „tak” albo „nie”. Widocznie jeszcze tej chwili nie miałeś.

— A ty?

Pokręciła tylko przecząco głową.

— Ale wiem, co powiem.

Ciekawe, jakby zareagowała, gdyby mogła wiedzieć, że wpatrując się w ukrzyżowaną, poszarzałą od starości figurkę, myślałem: „Odwal się wreszcie. Przestań się wciskać między nas i pozwól jej normalnie iść ze mną do łóżka”.

Nie wiem, od kiedy ten krzyż tam stał. Wiem do kiedy. Po debacie i nalocie przewodniczącej, to była już naprawdę głucha noc, pojechałem do Magdy. Pojechałem, bo wcześniej wydzwaniała do mnie wielokrotnie, żeby w końcu rzucić mi w słuchawce: „Muszę się z tobą zobaczyć. Bardzo cię potrzebuję... naprawdę, bardzo cię potrzebuję”. Tyle. Nic więcej nie chciała mówić przez telefon.

Zaparkowałem swoje toczydło pod blokiem i poszedłem na górę, pełen sprzecznych uczuć. Fakt, że w końcu nie rozmawiałem z Rafałem, jednocześnie przynosił mi ulgę i wzmagał obawę. W wersji dla Magdy nadal rzucałem robotę u pind, żeby się z nią ożenić, a w wersji dla Rafała, skoro nie poruszyłem tego tematu od paru miesięcy, było oczywiste, że zostaję. Cały czas nie miałem pomysłu, jak z tego wybrnąć. W dodatku trochę mnie niepokoiło tak nagłe wezwanie Magdy. A z drugiej strony, w głębi duszy żywiłem nadzieję, że to „bardzo cię potrzebuję” może oznaczać jakiś gwałtowny przyptyw namiętności, która zdołała wreszcie skruszyć jej zasady. Oczywiście, nie miałem żadnych podstaw, by na to liczyć, ale pomarzyć zawsze miło.

Mina Magdy, gdy otworzyła drzwi, wyleczyła mnie z tych rojeń od razu. Jej głębokie, ciemne oczy lśniły jak zeszlifowane diamenty. Przytuliła się do mnie takim ruchem, jakim wycieńczony pływak chwyta się nadbrzeża basenu.

— Jesteś... — głos miała drżący, jakby zaraz miał się załamać. — Nareszcie...

— Co się stało, kochanie? Co jest?

Była ubrana, pościel leżała nietknięta pod kocem. Usiadła zmęczonym ruchem i wpatrywała się we mnie długą chwilę.

— Będę miała syna — oznajmiła mi wreszcie.

Bardzo słabo przypominam sobie, co działo się potem. Jak przez mgłę. Poczułem, że robi mi się duszno, że zapadam się w jakąś studnię, w której dudni tylko potężnym echem łomot mojego serca i z daleka, spotęgowany pogłosem, dochodzi jej głos: „Jestem w ciąży”.

Potem już nic. Dotarłem do dna studni i pograżyłem się w beznadziejnej, zwierzęcej wściekłości. Coś krzychałem, rzucałem się po mieszkaniu; bardzo możliwe, że ją uderzyłem, nie pamiętam. Przypominam sobie tylko łzy w jej oczach i jednocześnie płonący w nich ogień, gdy krzychała: „Nie okłamałam cię! Nigdy nie było innego mężczyzny, jestem dziewicą! Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć!?” Nie chciałem jej słuchać, ale w końcu do mnie dotarło: nie puściła się, nie zrobiła ze mnie durnia jakiegoś świat nie widział. Gorzej. Padło jej na mózg. Zwariowała od tych ciągłych modlitw, od opiekowania się latami kopniętą staruchą, od siedzenia samej w domu, z dala od ludzi i tego byłem pewien — seksualnego niewyżycia. Z wściekłości opadłem jeszcze niżej, w lepki, zwierzęcy strach, jaki budzi w człowieku obłąd, kiedy nagle spojrzy mu w oczy. Wyleciałem na schody, ścigany szlochem Magdy, zdaje się, że potknąłem się na nich, rozwalając sobie kolano, ale nic nie poczułem. Ocknąłem się w momencie, gdy rozwalalem ten krzyż koło jej domu, tłukąc wyrwaną z ziemi kłodą w pobliskie drzewa i z furią rozszczeplając ją na coraz drobniejsze drzazgi, wyjąc przy tym jak zupełny szaleniec. Zostawiłem roztrzaskany krzyż, wróciłem do samochodu i w żaden sposób nie mogłem trafić kluczykiem w stacyjkę. W końcu rzuciłem nim o podłogę, oparłem głowę na kierownicy i, kurwa, poryczałem się jak pięciolatek. Łkałem, wijąc się, tłukąc pięściami w deskę rozdzielczą, drapiąc obicia. Dzięki Bogu, że był środek nocy i że nikt oprócz niego tego nie widział.

Owoce

Zbudził mnie świergot telefonu, założonego przed paroma tygodniami. Był ten najgorszy moment poranka, kiedy człowiek wciąż jeszcze jest pijany, a jednocześnie odczuwa już kaca w całej jego miażdżącej potędze. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie stoi aparat, a w oczach zbyt mi się mgliło, żebym mógł go znaleźć. Ale sygnał wwiercał mi się natrętnie w zalegający pod czaszką szlam, przyprawiając o mdłości i ból wszystkich nerwów.

Zwlokłem się z tapczanu i zacząłem podążać chwiejnie za krążącym po mieszkaniu elektronicznym świergotem. Duży pokój. Potknąłem się o wieżę stereo. Stolik telewizora i magnetowidu. Nie tu. Regał. Sypnęły się książki i kasyety. Tu też nie. W przedpokoju zaplątałem się w rzucony na podłogę płaszcz. Zajrzałem do trzeciego pokoju, gabinetu do pracy. W przyszłości, jak się w myślach przymierzałem, pokoju dla dziecka. Tfu. Nie pamiętać.

Jest. Zostawiłem go na blacie, między tosterem a kuchenką mikrofalową. W momencie gdy wyciągałem rękę, dźwięk umilkł. Zastygłem rozciągnięty na kuchennym blacie, jego chłód przyniósł ulgę twarzy, w jakiś dziwny sposób powstrzymując chęć wymiotów. Pan wydartego z wrogiego chaosu królestwa. Trzy pokoje, kuchnia i kłopot, kolorowy telewizor, tęgie skoble w drzwiach. Na dole jeszcze samochód. W pół roku. Od zera. Nie sprzedałem się tanio.

Telefon odezwał się znowu. Osunąłem się na podłogę, ściągając za sobą aparat. Ktoś podmienił go w nocy na kawał ołowiu. Łatwiej było opuścić głowę niemal do ziemi, niż podnieść słuchawkę do ucha.

Rafał. Kierownictwo pionu w Wydziale Propagandy. Biorę? Jasne, biorę. Tak. Zgoda. Omówimy szczegóły.

— Są już wstępne wyniki wyborów. Trzydzieści siedem i sześć dziesiątych procenta przy pięćdziesięciu ośmiu procentach frekwencji. — Nawet w tym stanie dotarło do mnie, że jego głos wcale nie brzmi triumfująco. — Ponad jedna trzecia mandatów. Polska to wszystko hołota, tylko im złota, złota... Westchnął ciężko. Może nie aż tyle co ja, ale on także pił tej nocy.

Pytania

Teraz wydaje się to tak odległe, jakby upłynęły całe lata. A przecież to tylko kilka miesięcy. Aż trudno uwierzyć, że tak szybko to wszystko poszło. Zerkam na tylne siedzenie. Magda wciąż śpi. Dla niej te kilka miesięcy było znacznie trudniejsze. Zwłaszcza odkąd zaczęły się rejestracje i całe to polowanie. I odkąd jej brzuch zaczął być zauważalny.

Za oknami migają widmowe, ciemne kontury chat jakiejś kolejnej wioski, w świetle lamp przewijała się pod kołami smolisto—czarna wstęga szosy.

— Może ja poprowadzę — rzucam półgłosem do Rafała.

Uśmiecha się, kręcąc przecząco głową.

— Nie ma potrzeby. Lubię powozić. Zresztą, za łatwo się zamyślasz. To już prawie Krasnobród.

— Ale jeżeli chcesz od razu wracać...

— Betka. Psia wachta, tuż przed świtem. Zakład o wszystkie pieniądze, że nie będzie żadnego patrolu. Rano muszę pojawić się o zwykłej godzinie w biurze, żeby nikt nie miał podejrzeń. Sekretarki naturalnie zauważą, że jestem trochę wypluty, ale pomyślą, że korzystałem z tego, że jeszcze mogę. I że są jeszcze jakieś niewiasty, które nie zdążyły się wyzwolić. Ktoś doniesie, ale nie powinno to wzbudzić szczególnej uwagi. Ty masz oficjalnie delegację do końca miesiąca na kongres w Belgii. Nawet jeżeli ktoś się w końcu połapie, będziecie już daleko. — RzUCA w moją stronę przenikliwe spojrzenie znad kierownicy. — Powinieneś się trochę zdrzemnąć. Tak jak ona.

— Nie potrafię.

— Widzę. Pytania?

Kiwam głową.

— Największe przekleństwo człowieka. Jak raz złączą męczyć, nie ma sposobu. Nic za darmo, hołocie to nie doskwiera. Które najważniejsze?

Zastanawiam się. Żebym to ja wiedział.

— Dlaczego akurat ja?

Dobiega mnie jego cichy chichot.

— To akurat mogę ci wyjaśnić. Bo jesteś pierdoła boża. W całym tego słowa znaczeniu. Przepraszam, ale trochę cię zdążyłem poznać. Wsadzić ci kij w dupę i można wymachiwać tobą jak kukiełką. Nigdy nie miałeś nawet na tyle własnej woli, żeby porządnie nagrzeszyć. A zresztą Bóg musi korzystać z takiego materiału, jaki akurat jest pod ręką. A tacy jak ty są świetnym materiałem. Dla obu stron.

Milczę. Pewnie znowu ma rację.

Się porobiło

A może nie ma. W końcu w wydziale udzielałem się naprawdę ostro.

Rafał oczywiście nie wziął do pracy ani jednej baby. Ściągnął część ludzi z dotychczasowego Biura Wyborczego, część była nowa. Funkcji niektórych z tych nowych długo nie potrafiłem zrozumieć. Na przykład prosiaczkowaty blondynek o wylupiastych oczach, drętwy i zupełnie pozbawiony wyobraźni językoznawca, wydał mi się w pierwszej chwili człowiekiem doskonale zbędnym. Siedział ze swoimi ludźmi przy komputerach i opracowywał systemy łączliwości wyrazów, dystrybucji przymiotników albo inne tego typu rzeczy. Z jakimi określeniami łączyć słowo „kobieta”, albo „dziecko”, jakie są wskazane synonimy, według kolejności od najbardziej stosownych do najmniej. Wydawało mi się to głupią robotą, dopóki nie przekonałem się na własne oczy, jak zabójczo wygląda tekst przepuszczony przez ich komputer.

Bardziej sensownie wyglądał mi gość od filmów, książek, wideoklipów i temu podobnych. Może dlatego, że jego robota łączyła się dość ściśle z moją. Chodziło, z grubsza biorąc, o robienie należytej reklamy wokół niektórych rzeczy, a udupianie innych. Oficjalnie nie miał

nad tymi sprawami żadnej władzy. Ot, prywatne kontakty. W praktyce decydował, co będzie na polskim rynku kulturotwórczym hitem, a co skończy żywot po tygodniu wyświetlania, albo w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy, wdeptane w glebę przez recenzentów i olane przez pośredników. Do mnie należało sprowadzanie wylansowanych przez niego twórców do Polski. Na Dolce jeździłem coraz rzadziej, zresztą wkrótce awansowała na rzecznika prasowego i przyjął ją ktoś, do kogo przewodnicząca miała większe zaufanie. Zamiast tego robiłem różnym kretynom z zachodu odpowiednie nagłośnienie oraz podtykałem im teksty. „Śledzimy bardzo uważnie wasz kraj i jesteście dla was pełni (pełne) podziwu” — leciały na Okęciu słowa do podetkniętych mikrofonów. „Rozpaliliście tu płomień, który ogarnie cały świat, płomień bezkrwawej rewolucji. Dzisiejsza Polska znalazła się w czołówce narodów świata. Jestem bardzo szczęśliwy (szczęśliwa) że mogłem (mogłam) ją odwiedzić.”

Właściwie było to dowartościowanie rodaków prostym odcinaniem kuponów od tego, co Ruch Wyzwolenia zdołał sobie załatwić na zachodzie. Jego siła przejawiała się tam bowiem w sposób dość szczególny. Nie miał liczących się przedstawicielstw w parlamentach, rządach ani lokalnych władzach. Całą parę — powiedzmy raczej: cały szmalec — puścił w co innego i w efekcie rządził niepodzielnie wideoklipami, powieściami sensacyjnymi, serialami oraz wywiadami udzielanymi przez wszystkie możliwe gwiazdy. Kto zostanie Miss Uniwersum albo otrzyma literacką nagrodę Nobla, ustalano w Radzie Europejskiej.

Rafał wyrażał się o tej strategii z największym uznaniem. W ogóle bardzo sobie cenił Radę Europejską, twierdząc zresztą, że żadnej z reprezentujących ją oficjalnie osób nie można podejrzewać nawet o dziesiątą część tego rozumu, który dostrzegał w działalności Ruchu. „Trzeba dobrze w tę robotę wejść, żeby docenić łeb tego, kto tym wszystkim kręci” — powiedział mi kiedyś. — „Tysiące szczegółów, z pozoru zupełnych drobiazgów, które łączą się systematycznie w pajęczynę oplatającą absolutnie wszystko. To idzie na full, na całość, i to tak przebiegle, że przeciwnicy nawet nie zauważają, jak tracą kolejne pola. Weź choćby przyłączenie zielonych. Zieloni, rozumiesz, to byli zawsze tacy niedojrzali czerwoni, niby tam kwiatki i inne pierdułki, a grali dla komunistów. W pewnym momencie zostali do więzienia, mając wyrobiony monopol na najbardziej chwytliwe hasła — w końcu kto nie chce pokoju i czystego powietrza? Nie wiem, jak inni mogli przegapić taką okazję. Albo rozegranie sprawy właśnie przez Polskę. Trzeba mieć jakiś kraj, który można przedstawić jako zakątek przyszłego raj, stawiać za wzór i być pewnym w nim oparcia. A gdzie łatwiej przejąć władzę, niż w takiej ni to Europie, ni to Azji? W kraju, gdzie społeczeństwo praktycznie pozbawione jest jakiegokolwiek elity, bo czego nie wybili ruskie i Niemcy, czego nie wykończyli czerwoni, pakując wszędzie półmózgów z awansu, to spieprzyło przy pierwszej okazji na zachód; a ta resztką nie ma wpływu, bo komuna rozwydrzyła wszelki motłoch, solidarność go jeszcze rozbuchała, wrywając sobie z rąk głosy, i nie ma w Polsce większej zbrodni niż ucziwie zarabiać więcej niż pan robot. Ta sama robota na zachodzie miałaby niesamowity opór. Tam są wieloletnie tradycje, zastałe układy. A u nas sprzedasz każdy kit. I przy tym, zauważ, oficjalnie to jednak jest Europa, i faktycznie — jest to jej najbardziej zatruta i wyniszczona ekologicznie część. Niesamowity łeb” — pokręcił przy tym głową. — „Chciałbym kiedyś tego faceta spotkać.”

Tydzień po wyborach zaczął się kryzys rządowy. Był nieuchronny, proporcje w sejmie rozłożyły się zbyt równo, żeby którekolwiek z ugrupowań mogło działać na własną rękę. Sprawa zaczęła się ślimaczyć, tydzień, drugi... Ludziska zrobili się wkurwione. My w tym czasie montowaliśmy obraz kompletnej anarchii i bezhołowia, budząc w ludziach i tak zresztą nieobcą im od dawna tęsknotę za jakimś mężem opatrnościowym, który by ten cały burdel wziął za pysk. W końcu skłonni się stali kupić na to stanowisko nawet najbardziej absurdalną personę. Sprawa dojrzała. Mąż się zjawił. Jak się okazało, była nim kobieta. Nasza stara znajoma, Bernadetta Wsadzaj.

Pomogły jej w tym ochotniczki, na spółkę z Ogólnopolskim Komitetem Protestacyjnym Fizycznych Niewykwalifikowanych. Ci ostatni w parę dni po wyborach, korzystając z ogólnego zamętu, władowali się do Urzędu Rady Ministrów i ogłosili tam strajk okupacyjny, żądając zagwarantowania statusu społecznego i finansowego fizolom, stałego zasiłku dla rezygnujących z podejmowania pracy w wysokości 110% średniej krajowej, i czegoś tam jeszcze. Całą imprezę zorganizowali zadymiarze, sfrustrowani miazdzącą klęską w wyborach i zawsze podatni na wszelkie, umiejętnie podsuwane sugestie. Oflagowali cały ginach na biało–czerwono, wystawili w oknach obrazy z Matką Boską i śpiewali, co tylko umieli śpiewać — hymn, Rotę, Boże coś Polskę, Międzynarodówkę — jak leciało. Po czterech dniach odwiedziła ich policja i zapytała uprzejmie, czy ewentualnie mogliby sobie pójść, ponieważ wprawdzie obecnie nie ma żadnego rządu, ale daj Boże niedługo będzie, a wtedy zajmowana przez nich powierzchnia lokalowa stanie się potrzebna. Ponieważ jednak fizyczni odmówili, policjanci zatknęli kciuki za pasy i wycofali się na z góry upatrzone pozycje. Fizyczni, uradowani sukcesem, wezwali wszystkich zagrożonych redukcjami niewykwalifikowanych, by przybywali łączyć się z nimi w proteście i śpiewali dalej. Dziewiątego dnia zaszczylił ich swą wizytą marszałek sejmu, powtórzył jeszcze bardziej pokornie tę samą prośbę i otrzymał tę samą odpowiedź. Po jego wyjeździe fizyczni podbili stawkę do 120% średniej krajowej i stanowczo zażądali zaprzestania wprowadzania nowoczesnych technologii, które pozbawiały ich pracy, grożąc, że zaczną odcinać w miastach dopływ wody, gazu i prądu do mieszkań. Rafał oderwał nas od bieżących zajęć i rzucił do organizowania w okupowanym gmachu mszy polowej dla protestujących.

Na szczęście w Polsce jest bardzo wielu księży, a jak gdzieś jest bardzo wielu ludzi, to zawsze można wśród nich znaleźć idiotę. Nam zajęło to dwa dni. Wprawdzie zastrzegł się, że udzieli fizolom duszpasterskiej posługi po to, by mediować i apelować o rozsądek, ale mediowanie i apelowanie nie zostały starannie zarejestrowane przez TV i wyemitowane w niedzielny wieczór, natomiast duszpasterska posługa tak, doprowadzając najciężej nawet myślących rodaków do furii.

I kiedy następnego dnia o świcie wpadło do okupowanego gmachu oburzone społeczeństwo w postaci ochotniczek, pindy stały się najbardziej uwielbianą partią w kraju. W godzinę niemal cały budynek był czysty. W pół godziny potem ochotniczki sforsowały drzwi ubikacji, w której zabarykadowało się śpiewając patriotyczne pieśni kierownictwo strajku okupacyjnego, i bez większych ceregieli dokonało jego defenestracji. Po następnych pięciu minutach cały budynek zaroił się od ekip telewizyjnych, filmujących skutki dokonanych przez fizoli dewastacji i skrupulatnie podliczających koszty całej afery w przeliczaniu na mózg statystycznego mieszkańca.

Rafał uśmieł się jak norka.

— Komuchy nazwaliby to sprawiedliwością dziejową. Pindy wzięły na klasie robotniczej odwet za batalion Boczkariowej — po czym z właściwą sobie energią zaczął przyduszać informacje o prawdziwym przebiegu wydarzeń, kładąc nacisk na bohaterstwo wątlých, słabych kobitek, które sprzeciwiły się pogrążeniu naszego wspólnego domu w chaosie i anarchii.

Pani Bernadetta spuchła z dumy.

— Kobiety udowodniły, że potrafią przyjąć odpowiedzialność za ład i porządek. Nie zrobiłyśmy tego po raz ostatni. Chcemy żyć lepiej, godniej i dostatniej, bez względu na to, czy się to panom spodoba, czy nie — po czym przyjęła z rąk prezydenta, równie jak jego poddani wymęczonego tym całym bajzlem, misję stworzenia nowego, koalicyjnego rządu.

Ja pomyślałem sobie tylko, że kiedyś ten naród robił powstania, brał jedną szarżę najeżony armatami wawóz i bronił Westerplatte, a teraz potrafi tylko nałożyć biało–czerwone opaski, zabarykadować się w sraczu i zawodzić pieśni, których już całkiem nie rozumie. Po czym poszedłem na wódkę.

Naród, jak to naród — stwierdził, że się porobiło i cierpliwie czekał, co będzie dalej.

Dalej bezkrwawa rewolucja ruszyła jak z kopyta. Całe pakiety ustaw za jednym zamachem. Po części cudzych, przeprowadzonych w ramach układu z partiami koalicyjnymi, po części naszych, to znaczy pind. Chaos i anarchia zniknęły z mass–mediów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ich miejsce zajęła biologiczna degradacja, długofalowe skutki Czarnobyla i zasiarczonego powietrza, żalostny stan opieki zdrowotnej, plus tematy stałe — nabijanie się ze zmurszałych wartości życia rodzinnego, kościelnej biurokracji oraz tłamszonych przez wiecznie pijanych małżonków bab–garkotłuków, płodnych jak królice. A także — sam nie wiem, dlaczego — laments nad fatalnie zaniedbaną obronnością kraju naszej części wspólnego europejskiego domu.

W trzeciej z kolei paczce ustaw znalazł się obowiązek rejestracji i szczególnej opieki zdrowotnej nad kobietami ciężarnymi.

W piątej rozbudowanie resortu zdrowia o służby prewencyjnych badań płodowych. Zorganizowano je w oparciu o zagranicznych specjalistów tak sprawnie, jak to się chyba w tym kraju nie zdarzyło od czasów budowy Gniezna.

W ósmej poszerzenie ich uprawnień i wyszczególnienie przysługujących im sankcji.

— Wszyscy wiemy, jak bolesne to posunięcie dla każdej polskiej kobiety i dla całego naszego narodu. Ale wiemy też, do jakiego stopnia stało się ono konieczne, jeśli w krótkim czasie liczba dzieci nieuleczalnie chorych nie ma przekroczyć liczby zdrowych — oznajmiła grobowo pani premier.

— Czy one, do cholery, powariowały? — wściekał się Rafał. — Rodziły bachory tyle tysiące, mogą jeszcze parę lat poczekać. Czego się tak śpieszą? Jakby chciały wszystko popsuć!

Ja starałem się niczego nie komentować, tylko z tą samą wściekłością, z jaką rozwalilem krzyż na Kabatach, realizowałem aktualne zadania. A w wolnych chwilach katowałem swoją wątrobę, starając się ze wszystkich sił raz na zawsze zapomnieć o Magdzie. Czasami prawie mi się udawało, parę razy zdołałem nawet wyciągnąć na bolcowanie jedną z sekretarek. Czasami natomiast nachodziła mnie myśl, że zachowałem się jak ostatni skurwysyn. W końcu świr — choroba jak każda inna, tylko że się na nią nie umiera, wariatka czy nie, znajdowała się pod moją opieką. Ale nie miałem na to siły. Nie miałem też siły, żeby wytłumaczyć sobie, że nic mnie ona nie obchodzi.

Kończyło się to z reguły tak unyżną chandrą, że nic, tylko walić łbem w ścianę, kolejnym okresem katowania wątroby i jeszcze gorliwszym szykowaniem gruntu pod przygotowywane do wprowadzenia w życie prawa.

Wreszcie w akompaniamencie jazgotu prasy, radia i telewizji sejm uchwalił, senat zatwierdził a prezydent podpisał ustawę „o częściowym ograniczeniu wolności rodzicielskiej w uzasadnionych przypadkach”. Czyli, mówiąc prościej, o obowiązkowym skrobaniu dzieci wskazanych przez służbę prewencyjnych badań płodowych. Stosowane przez nią kryteria zdawały się nie bardzo trzymać kupy — w każdym razie do najważniejszych należały dane o rodzicach i środowisku, całe specjalistyczne „badania” pobłyskującą aparaturą robiły pic dla prostaczków. Nasz gramatyk wprowadził do swojego komputera zasadę, by o zabiegach płodowych pisać zawsze „nieliczne”.

Pani premier wygłosiła płomienne przemówienie. Udowodniła jak dwa a dwa cztery, że nic się nie da poradzić, to i tak najbardziej humanitarne wyjście z możliwych, oraz zapowiedziała stanowczy odpór ciemnocie i klerykalizmowi, które nie chcą przyjąć do wiadomości rzeczy koniecznych.

Rafał i ja nie powiedzieliśmy nic. Było to bowiem nazajutrz po naradzie, na której pani Bernadecie udało się po raz pierwszy wyprowadzić Rafała z równowagi.

Bezkrwawa rewolucja

Regulamin wymagał, aby raz na dwa tygodnie szef Wydziału Propagandy zasiadał na parę godzin w jednej sali z kierownikami pionów. Nazywało się to naradą kierownictwa. Przewodnicząca Ruchu miała z urzędu prawo uczestnictwa w tych nasiadówkach i nie opuszczała ani jednej, nawet po objęciu funkcji państwowych. Prawdopodobnie licząc na to, że zdoła wreszcie zatriumfować nad szefem wydziału w oczach jego podwładnych. Nigdy jej się to nie udało, mąciła jednak niesamowicie, przeciągając te ceremonie ku czci świętego Biurokracego do granic możliwości.

Rafał znalazł na to metodę; wszystkie istotne sprawy załatwiał z nami na bieżąco, w codziennych rozmowach. Narady stały się w ten sposób częścią formalnością, suchym referowaniem planów na najbliższe dwa tygodnie, wyliczaniem, gdzie i kiedy jakieś koło postępowej młodzieży zorganizuje kolejną międzynarodową sesję poświęconą walce z zacofaniem, daniu odporu siłom konserwy oraz uświadomieniu świata nieuchronności obyczajowych i politycznych przemian. Albo ile to bohaterskich kobiet podda się wkrótce dobrowolnej sterylizacji, raz na zawsze uwalniając się do upokarzającego Rozrodu. Albo jaka to kolejna sławna pisarka zachwyci się Polską i jej marszem w awangardzie narodów świata. Albo jakie to kolejne fakty będziemy mieli do wepchnięcia motłochowi, by przekonać go, że powodzi mu się już prawie tak, jak na zachodzie, a będzie jeszcze lepiej. Nuda.

Tego dnia pani Bernadetta siedziała cały czas cicho, ze zmijowatym uśmiechem, świadczącym, że coś ukrywa w rękawie. Obok mnie kierownik pionu młodzieżowego rysował w notesie biegnącą świnię, co stanowiło jego ulubione zajęcie na naradach. Cieniował ją długo starannymi, gęstymi pociągnięciami długopisu, cyzelując pracowicie podkreślony fantazyjnie ogon. Gdy zabrał się do niesionego w świńskim ryju kwiatu, przewodnicząca zabrała głos.

— Mam panom do zakomunikowania kilka istotnych spraw. Stają przed wami nowe zadania. Rada Europejska wyznaczyła nowe cele, których realizacja jest sprawą priorytetową i bardzo pilną — oznajmiła, kładąc nacisk na ostatnie słowa. Od razu zrobiło się ciekawiej. Mój sąsiad odłożył długopis, pozostawiając narysowany do połowy kwiatostan, a gramatyk oderwał skryte za grubymi szklami oczy od schowanego dyskretnie w stercie notatek skryptu.

— Nie przypominam sobie, żebym dostał jakieś nowe wytyczne od Rady — rzucił spokojnie Rafał, rozpierając się wygodnie w fotelu i skupiając całą uwagę na wydobywaniu ze swej fajki coraz to gęstszych kłębow dymu.

— Dotrą do pana w stosownym czasie. Ze względu jednak na wagę spraw uważam za stosowne przedstawić zamierzenia Rady już teraz. Szkoda czasu, by to odkładać.

To, co streszczała przez następnych parę minut, mnie osobiście niewiele wzruszyło. W końcu miałem pełny luz człowieka, który dostaje do zrobienia konkretne detale, a całości ogarniać nie musi ani za nią nie odpowiada. Od tego miałem szefa. W miarę jednak, jak mówiła, twarz Rafała ściągała się coraz bardziej, a jego oczy zwięzały się, aż zaczęły przypominać cienkie, z lekka tylko podpuchnięte i podsiniowane szparki.

— Rada oszalała — stwierdził wreszcie sucho w ciszy, która zapadła po słowach przewodniczącej.

— Słucham? — kąciki wypacykowanych warg podjechały delikatnie do góry. — Pan, zdaje się, uważa się za mądrzejszego?

— W każdym razie uważam, że przedstawione przez panią decyzje po pewnym czasie zniszczą wszystko, co dotąd udało mi się osiągnąć. Jest za wcześnie. Rozumie pani? Za wcześnie. Tutejszy ludek jeszcze nie dojrzał do zaakceptowania takich posunięć. Będą protesty, zamieszki. Nie obejdzie się bez użycia siły. Trzeba się będzie w coraz większym stopniu opierać na fanatykach, którzy zamiast umiejętnie wygaszać i usypiać spory, zaczną je podsycać. Zamiast odciągać ludzi od religii, zaczniemy popychać ich do niej i przysparzać Kościołowi świętych męczenników. W efekcie...

— Do pana wciąż jeszcze chyba nie dotarło, że to jest rewolucja. Nie obejdzie się, prędzej czy później, bez ofiar, a przeciwników tak czy owak trzeba będzie zmusić do posłuszeństwa siłą. Mamy w tej chwili dość siły. I żadnych powodów, by czekać.

— Rewolucje mają krótki żywot. Zastanawiała się pani kiedyś, co załatwiło komunistów? Mogę pani powiedzieć: bezmyślna pogoń za doraźnymi efektami. Nowy układ społeczny musi się długo utrzymywać, krzepnąć, nowej ideologii trzeba dać czas na takie wrośnięcie ludziom w mózgi, żeby już nie potrafili jej wyrwać. Żeby obezwładnić wszystkie grupy, trzeba ten proces prowadzić stopniowo. Inteligencja — powiedział to w wyraźnym cudzysłowie — jest już w zasadzie nasza. Najwyżej trochę powzdycha. Ale prosty, głupi polski robot czy chłop jest uodporniony na Wszelką argumentację, nie da się go szybko przerobić żadną propagandą. Potrzeba przyzwyczajenia. Niższe grupy społeczne charakteryzują się ogromną inercją. — Pociągnął nerwowo kilkakrotnie fajkę. — Można ich nie brać pod uwagę rozpatrując sprawę tylko na ten moment. Rzecz w tym, że ja staram się myśleć perspektywicznie i obliczać sprawy na dłużej niż rok czy dwa naprzód. I Rada powinna postępować tak samo. Jeśli dla przymusu aborcji posłużymy się siłą, proces wchłaniania niższych grup zostanie raz na zawsze udaremniony. To nic, że chwilowo się ugną i że jeszcze przez czas jakiś będzie pani święcić kolejne sukcesy. Zostanie nam tłum zaciętych w nieufności, wiedzących swoje ciemniaków, broniący się przed nami coraz większą podatnością na obrzędowość religijną. Aż w pewnym momencie, w odpowiedniej chwili, ktoś poderwie ich przeciwko nam i użyje do swoich celów. I tak się to wszystko skończy.

Odłożył fajkę na stół i uśmiechnął się gorzko do przewodniczącej.

— Żał patrzeć, jak głupota i fanatyzm biorą górę nad zdrowym wyrachowaniem. Do diabła, jak gdyby głównym celem ruchu nie było zbudowanie trwałego, wygodnego układu, tylko niedopuszczenie do rodzenia się w tym kraju dzieci.

— To zabrzmiało jak rezygnacja z pełnionej funkcji — w jej twarzy nie było ani śladu rozgoryczenia.

— Próżne nadzieje. Dałem jedynie wyraz swojemu rozczarowaniu, sądziłem, że Rada wykaże się większym rozumem.

Przewodnicząca długą chwilę mierzyła go wzrokiem, wreszcie oznajmiła sucho:

— Panie Rafale, nam chyba przestaje być ze sobą po drodze.

Te słowa i ten ton na posiedzeniach zarządu Ruchu musiały budzić panikę.

— Jest pan amoralnym cynikiem. Człowiekiem nie potrafiącym ogarnąć naszej idei i sensu ogarniających świat przemian. Mówiłam już panu kiedyś, że przyjdzie taka chwila, gdy przestaną nam być potrzebni drobni krętacze...

— Tylko nie drobni — przerwał jej.

— ...drobni krętacze, nawet tak zręczni jak pan. — Przerwała na moment, jakby chciała podkreślić efektowną pauzą ostatni cios. — Myślę, że ten człowiek, który nazwał pana „dzieckiem Urbana” miał dużo racji.

Musiała w coś trafić. Pochylił się w jej stronę i wycedził z wściekłością:

— A pani jest ograniczoną, zacierzwioną dewotką feminizmu. Nawet sobie pani nie zdaje sprawy z tego, co naprawdę robi i dla kogo. Z dwojga złego wolę cyników. Przynajmniej wiedzą, czego chcą, i zazwyczaj osiągają cel. Fanatycy różnią się od nich tym, że w końcu oni też kładą głowę pod własnoręcznie zbudowaną gilotynę.

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie wręcz z furią. Przewodnicząca skwitowała to drwiącym uśmiechem. Nagle jakby oklapł, sięgnął po fajkę i zaczął nabijać tytoniem.

— Porozumiem się z radą — rzucił.

— Oczywiście. Ma pan do tego prawo.

Powinna na tym skończyć, ale widocznie chciała się jeszcze nacieszyć sukcesem. Potoczyła po nas wzrokiem.

— Ta dyskusja nie była potrzebna — oświadczyła. — Panowie jesteście zobowiązani wykonywać polecenia. Bez względu na to, kto akurat pośredniczy między wami a Radą. Czy też mają panowie jakieś zastrzeżenia? — zatrzymała wzrok na mnie. — Pan? Zdawało mi się, że chce pan coś powiedzieć?

— Nie mam nic do powiedzenia — odparłem, zresztą zgodnie z prawdą. — Mnie osobiście nic nie dziwi. Nawet dziewice zachodzące w ciążę.

Nie wiem, po co ani dlaczego to powiedziałem. W każdym razie reakcja była zaskakująca. Twarz pani Bernadetty zmieniła się w jednej chwili. Przypominała psa Pawłowa, który nagle usłyszał dzwonek.

— Co? — wyrzuciła z siebie zmienionym głosem.

Kątem oka dostrzegłem, jak Rafał gwałtownie wbija we mnie wściekłe spojrzenie, poruszając bezgłośnie ustami: „stul mordę!”. Rozejrzałem się niepewnie.

— No... — zacząłem — taki dowcip. Może nie najlepszy. Przepraszam, ale jestem dziś zmęczony.

Zapadła nienaturalna cisza.

— Dobrze. Myślę, że na tym poprzestaniemy — oznajmił Rafał. — Chyba że są jeszcze jakieś pytania?

Pająk

Zdołałem tylko wrócić do swojego gabinetu, aby dowiedzieć się, że mnie do siebie wzywa. Siedział za biurkiem, tuląc we wnętrzu dłoni kieliszek. Napełnił i bez słowa podał mi drugi.

— Co ci strzeliło do łba z tymi dziewczycami w ciąży?

Próbowałem powtórzyć, że tak mi się po prostu powiedziało.

— Nie rób ze mnie durnia — zirytował się. — Gdzieś to słyszał?

— Nie wiem, tak jakoś... Czy ja coś powiedziałem, no, nie tego?

— Cholera wie — wzruszył ramionami. — Czysta ciekawość. Pindy jakoś dziwnie reagują na takie rzeczy. A zwłaszcza wydział wewnętrzny. — Odstawił pusty kieliszek na blat. — Żeby ich jasny szlag! O takiej sprawie dowiaduję się dosłownie w przeddzień, i to od niej! Baba jest sprytniejsza niż myślałem.

Zachowałem taktyczne milczenie. Szef również przeżuwał coś przez chwilę w ciszy. Potem gwałtownie poderwał głowę, jakby go olśniło.

— Ta twoja Magda? — ni to zapytał, ni to oznajmił. — Wcale jej nie kłuteś, co? Prawda, chciałeś się żenić! Słuchaj, Alek, trudno się w tym wszystkim połapać, ale to może być klucz. Jak cholera. No gadajesz, do kurwy nędzy!

Miałem ochotę wyparować albo schować się we własnych butach.

— No dobrze — przyznałem wreszcie. — Zgadł szef. Zwariowało się dziewczynie, czy to moja wina? Zawsze za dużo latała po kościołach, no i w końcu ją naszły mistyczne odjazdy... Zresztą nie widziałem jej już od paru miesięcy.

Podniósł się energicznie i zaczął przechadzać po gabinecie.

— Od ilu miesięcy?

— Ze cztery.

— To już powinno być widać? Mam nadzieję, że się nie dała zarejestrować?

Zgłupiałem.

— Szefie — zacząłem bezradnie. — Szef poważnie... że ona mogła naprawdę zająć z...

Wierzy szef w coś takiego?

— Nie wierzę — zatrzymał się, oparł lewą rękę o regał i jednym ruchem opróżnił kieliszek.

— Pewnie, że nie wierzę. Takie rzeczy nie zdarzają się od dwóch tysięcy lat.

Odstawił szkło, po czym przetaił mocno twarz rękami i kilkakrotnie potrząsnął głową.

— Kurwa mać! Kurwa mać! — powtórzył. — Ale to wreszcie wszystko tłumaczy. Wszystko. Zbyt oczywiste, żeby na to wpaść, nawet patrząc codziennie pindom na ręce.

— Co tłumaczy? — zapytałem zdezorientowany.

— Ten obłąd ze skrobaniem dzieci, „upokarzający rozród”... że zamiast dalej iść metodycznie krok po kroku, Rada nagle głupiej i zaczyna pchać przymusową aborcję, jakby się im paliło w majtkach.

Nic nie rozumiałem. Nie, to nieprawda: już rozumiałem, tylko nie byłem w stanie tego przyjąć do wiadomości.

— Mogę zapalić? — odezwałem się bezradnie.

— A pal, kurwa. — Znowu zatopił się w myślach, wędrując po gabinecie.

— No dobrze — zaczął wreszcie. — Wymyśliliśmy do tego kupę argumentów nie do zbiccia, pindy na swój własny użytek drugie tyle, ale sprawa była wyraźnie założona z góry. Cały czas mi to nie grało, cholera. Cała reszta tak, wyzwalanie kobiet, prosię bardzo, hasło dobre jak każde inne... Stara metoda, biedni przeciwko bogatym, głupi przeciwko mądrym, czemuż by nie kobiety przeciwko mężczyznom; byle dać pretekst do rozpętania obłądzenia i wyjechać na nim na sam szczyt. Ta sprawa z przymusową aborcją wydawała mi się niepotrzebnie doklejona, w końcu nikt im nie zabrania wykańczać dzieciaków, kiedy tylko mają na to ochotę... A teraz patrz — przysiadł na krawędzi biurka i zaczął mi tłumaczyć z ożywieniem: — Załóżmy, że wiesz o zbliżających się narodzinach gościa, który ma cię wgłębić. Wiesz mniej więcej gdzie i kiedy, ale szczegółów nie znasz. Nie możesz do tego dopuścić. Co się narzuca?

— Rachunek prawdopodobieństwa.

— Właśnie. Różnic jak popadnie, im więcej, tym większa szansa, że przy okazji trafisz tego właściwego. Stara historia, do cholery. Ale wiadomo, że ta akurat matka sama z siebie dziecka nie zabije. Trzeba ją zmusić. Oczyszczenie populacji to genialny pretekst. Użycie do tego feministek wręcz się narzucało. Ale w końcu on ma niesamowity łeb i wciąż się uczy.

— Szefie — niemal jęknąłem. — Co mi szef próbuje udowodnić?

— Że mam unikalną szansę wyciąć najlepszy numer w swoim życiorysie. Albo się tak wygłupić, że nie daj Boże... — znowu pokręcił głową. — Nie, cholera, to trzeba najpierw sprawdzić. To czy ona naprawdę... Miałem kiedyś jednego znajomego skrobacza, może nie zakapuje.

Zaczął przerzucać papiery, potem kartki wydobytego spośród nich notesu. Wziął telefon, podumał nad nim chwilę i odstawił go na miejsce.

— Do bani — stwierdził. Zbieraj się. Pojedziemy po nią od razu. Siedziałem w jego toyocie, ciągle zastanawiając się, czy to Magda zwariowała, czy on, czy w ogóle wszyscy.

— To się wszystko nie trzyma kupy — próbowałem beznadziejnie przekonać samego siebie.

— Przeciwnie. To się dopiero teraz trzyma kupy. W końcu kto inny potrafiłby coś takiego zmontować? Zauważ, jak on się uczy. Za każdym powtórzeniem poprawia poprzednie błędy. Komunizm był już prawie doskonały.

— Szefie — podjąłem ostatnią, rozpaczliwą próbę. — Przecież, na litość boską, żadnego Diabła nie ma! Boga zresztą też, do cholery!

— Jasne — skinął spokojnie głową. — A dziewice nie rodzą dzieci.

Oraz to, że cię nie opuszczę

Ktoś musiał nadać sprawę. Może osobiście pani Wsadzaj? A może któryś z kolegów wydziału zamieścił dziwny incydent z narady w swym rutynowym donosie, który dołączył do wydziału wewnętrznego i wywołał tam zainteresowanie? Rafał musiał to przeczuć. Bezpośrednio od tego swojego znajomego łapiducha zawiązał Magdę do siebie. Duża willa, za

miastem, z dala od innych. Przekonał nas, że to najlepsze wyjście. Następnego dnia pojechałem na Kabaty po jej rzeczy.

— Gorzej niż myślałem — stropił się Rafał. Wewnętrzny, jak nic. Musicie stąd wiać.

— Dokąd? — trzęsły mi się ręce. — Na zachód?

— Zgłupiałeś, Żadnej szansy. Cholera, to nie będzie proste. On na pewno to przewidział. W końcu w dobie komputerów nietrudno mieć pełną kontrolę nad tym, kto wyjeżdża, a kto przyjeżdża. Można załatwić sprawę gdzieś na boku, bez rozgłosu. — Trzeba będzie to zrobić tak, żebyście zniknęli niepostrzeżenie. — Poklepał mnie po ramieniu. — Dwa dni. Tyle potrzebuję, żeby coś zmontować.

Pokiwałem bezradnie głową.

— Chodzi o jakieś miejsce, gdzie cywilizacja nie raczyła jeszcze dotrzeć w całej pełni. Może Bliski Wschód. Na pewno najpierw na Ukrainę i potem dalej.

— I to się da zrobić?

Przytaknął uspokajająco gestem.

— Nie musi wiedzieć, że to już. Nie musi wiązać twojego wyskoku na naradzie z czymkolwiek więcej, niż że po prostu obito ci się coś takiego o uszy. Pewnie w ogóle o nim nie wie. Ma swoich ludzi, a oni się myślą, jak to ludzie. Maca na ślepo. Myślę, że macie szansę.

Roześmiał się nagle.

— Wszystko się, cholera, ciągle powtarza. Kierunek na Zaleszczyki. W tym kraju, zdaje się, to stała droga, kiedy raczy się tu pojawić nasz aktualny szef.

Nie widziałem w tym nic wesołego.

— Idź do niej — rzucił, kierując się ku schodom do garażu.

— I tak się dzielnie dziewczyna trzyma, ale powinieneś przy niej być. — Zawahał się, ściągał ze stołu niedopity kieliszek i swoim zwyczajem zażył beznamiętnie jego zawartość. Whisky spłynęła mu do brzucha, poruszając jakiś ukryty mechanizm. Chodząca księga cytatów otwarła się z szelestem.

— A kiedy przyszło uciekać (niósł dziecko, o którym wiedział, że nie jego) i najcięższy koszyk — powiedział ani do siebie, ani do mnie. — Zdaje się, że zostałeś wybrany. Mam nadzieję, że mi nie przyniesiesz wstydu.

Wybrany. Chyba do tego, żeby zawsze mną ktoś kręcił. Magda, pindy, Rafał, a teraz Bóg we własnej osobie. Nie miał kogo wybrać. Może zresztą naprawdę nie miał.

Nie mogła znać moich myśli. A przecież to, co powiedziała, brzmiało dokładnie jak odpowiedź na nie.

— Wiedziała, że do mnie wrócisz. — Przytuliła się ufnie. Kochałem ją. Cóż mogłem poradzić; może to chemia, może przekleństwo losu, a może dar od Boga. Delikatnie przeciągnąłem palcami po jej brzuchu, po dziecku, o którym wiedziałem, że nie jest moje; i nie potrafiłem oprzeć się wzruszeniu, mimo bolesnej świadomości, że poderwał mi tę moją dziewczynę na świecie ktoś, z kim nie miałem nawet cienia szansy się mierzyć. Ale przynajmniej mogłem się pocieszyć, że, cholera, od razu wiedziałem, co dobre.

— Skąd to mogłaś wiedzieć?

— Skoro byłeś ze mną tak długo... To znaczy, że Bóg wybrał właśnie ciebie, prawda? Ty możesz tego nie rozumieć, ja też, ale On wie, co jest w człowieku naprawdę. I do czego, kiedy przyjdzie na to pora, okaże się zdolny.

No dobrze. Powiedzmy. Ale dlaczego Rafał zrobił to, co dla nas zrobił?

Ludzie jak my

— Dlaczego właściwie pan to wszystko robi? — pyta Magda. Nie śpi już. Dojeżdżamy. Nie spisał nas żaden patrol, nie dogonił żaden pościg, nie zarejestrowała zaspana obsługa rogatki.

Dojeżdżamy. Przecież musieliśmy dojechać. Nie powinienem mieć co do tego żadnych wątpliwości, tak jak Magda.

— Po prostu z wyrachowania — odpowiada Rafał.

Magda kręci głową.

— Pan wie, że to nieprawda. Panem kieruje co innego.

— Tak? Co na przykład?

— Nienawiść. Tak przynajmniej sędzę po tym, co opowiadał Alek. Nienawidzi pan ludzi. A już swoich rodaków zwłaszcza.

— A, chodzi pani o moją pracę? — robi minę „może — może”. — Coś w tym jest. Ale, wybaczy pani to słowo, za co właściwie skurwysynów lubić? Stada głupiego bydła.

— Czy trzeba koniecznie mieć powód? Może powinno się ich kochać jakby na kredyt, w nadziei, że kiedyś na to zasłużą?

— Pani mówi zupełnie o czym innym. O miłości bliźniego. W porządku, bliźniego mogę kochać. Ale tłum, stada... Nie, zdecydowanie nie. Z reguły zresztą ma taki los, na jaki sobie zasłużyło. Marzy tylko o tym, żeby móc po kimś deptać, kogo nienawidzić, dać upust wszystkim swoim zwierzęcym instynktom. Co zrobili murzyni w RPA, jak tylko przestali dostawać wycisk od Afrykanerów? Zaczęli się sami wyrzynać nawzajem. Albo narody byłego ZSRR?

— Rozumiem. „Trzeba dopiero uświadomić sobie, na jak bezgraniczną pogardę zasługuje człowiek, żeby móc się stać prawdziwym bolszewikiem. Czy to jest pańskie wyznanie wiary?

Nic zważając na fakt, iż właśnie wychodzimy z zakrętu, Rafał obraca się i długą chwilę przygląda Magdzie, jakby zdumiony, że kobieta przemówiła ludzkim głosem. Ona odpowiada mu tym swoim gorzkim, smutnym uśmiechem.

W końcu kieruje spojrzenie z powrotem na drogę. Z trudem udaje mi się powstrzymać westchnienie ulgi.

— Włodzimierz Iljicz nie jest moim idolem, jeśli o to pani chodzi. Chociaż mam duży szacunek dla jego umiejętności fachowych. A co do wyznania wiary... Tak się składa, że ja straciłem wiarę, i to dość dawno.

— To chyba najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć.

— Nie sędzę. Najgorzej jest wtedy, gdy ktoś taki, kto stracił wiarę, stara się rozpaczliwie znaleźć sobie jakąś nową. Tego szczęśliwie zdołałem uniknąć.

— A te dzieci? Przecież ustawa weszła już w życie. Setki tysięcy dzieci zamordowanych, zanim zdążyły się urodzić. Nie ciąży to panu na sumieniu?

— Czemu miałyby akurat mnie szczególnie ciążyć? — odpowiada z irytacją. — Co roku od lat skrobie się w tym kraju tysiące dzieci. Co za różnica, czy kobiety robią to na własną odpowiedzialność, czy mają pretekst, żeby się z tej odpowiedzialności zwolnić? Pewnie, że to zbrodnia. I co z tego? Cała historia ludzkości to jedna wielka zbrodnia. Ciągłe mordowanie jednych grup przez inne, z odpowiednią ideologiczną podkładką albo bez niej. Czy to ja tak urządziłem? Czy mam jakikolwiek wpływ na to, że tak zwana ludzkość raz na jakiś czas dostaje obłędu i pławi się we krwi niewiernych, heretyków, elementów rasowo niepożądanych albo wrogów klasowych? Czy jestem w stanie to zmienić? I dlaczego miałbym marnować życie na beznadziejną walkę z tym, że tak zawsze było, jest i będzie?

— Może na tym polega sens naszego życia. Na podejmowaniu tej beznadziejnej próby?

— Może. Ja osobiście widzę go gdzie indziej. Życie, proszę pani, to pisanie powieści. Musi być wartka, pełna fabularnych zwrotów, mieć nastrój, smak i odpowiednią ilość wszystkiego: i głębszych przemyśleń, i momentów, i liryzmu. Mniej więcej wiem, w którą stronę zmierza moja powieść. I jak się skończy. Mogę to pani obiecać, że będę umierał jak imć Samuel Łaszczczyk, Strażnik Koronny, śmiejąc się w kułak i niewiele dbając o rachunek, który mi wystawią u świętego Piotra. Na pewno będzie spory, ale chyba zmieści się w granicach normy. Zresztą, nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego?

— Więc może dlatego, że noszę pod sercem tego, który przyjdzie to wszystko zmienić? Magda nie może z tylnego siedzenia widzieć jego twarzy. Może to i lepiej.

— Nie chciałbym się wyrażać, co zmieni. Znowu da się zamordować i jeszcze dostarczy ludziom kolejnego powodu do tępienia innych: że w niego nie wierzą. Ale cóż, gra musi się toczyć. Nie mam ambicji ograbić jej ani wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Staram się tylko nie nudzić. I na razie mi się to udaje.

— A to, że nam pan pomógł? Też tylko po to, żeby się nie nudzić?

— Przyzna pani, że świetny, zaskakujący zwrot akcji. W końcu nikt nigdy do końca nie wie, dla kogo gra. I czy jest gdzieś powiedziane, że nie można grać po obu stronach? Zdaje się, że święty Ignacy Loyola nie przewidział takiego wariantu. Ale to był prostoduszny człowiek.

— Więc woli pan tam wrócić?

— I dalej robić te straszne rzeczy. Domyślam się, jak to pani ocenia. Ale dawno już przestałem się zastanawiać nad swoją moralnością.

Magda zaprzecza ruchem głowy.

— Staram się nie sądzić innych.

— Albowiem tak jest nakazane w piśmie. To mnie zawsze intrygowało: jakim cudem dobro jeszcze istnieje, stosując tak nieskuteczne metody?

— Widać z jego punktu widzenia nie są nieskuteczne.

— Zapewne. Nigdy nie czułem chęci do zagładania Bogu w rękawy.

— Myślę, że powinieneś pojechać z nami — odzywam się. — Pindom już niedługo nie będziesz potrzebny. Teraz przyszedł czas na chamską, nachalną propagandę. A to nie jest twój styl.

— Czegoś cię jednak nauczyłem — śmieje się i ze śmiechem uderza w deskę rozdzielczą wozu. — Cholera, to jednak jest skuteczne. W końcu zabrał mi najlepszego ucznia, w parę minut, bez problemu... a ja męczyłem się prawie rok, żeby z ciebie zrobić takiego samego skurwiela jak ja sam. A tobie z kolei wyjął dziewczynę. I żaden nie ma pretensji. Coś w tym musi być. Coś, czego nie rozumiem.

— Myślę... — próbuję znowu.

— To nie myśl — ucina sucho. — To z kolei nie jest w twoim stylu. Dobrze wiem, co dalej będzie, i zaręczam ci, że wszystko zostało w kalkulowane w koszta imprezy. Za parę miesięcy pani Wsadzaj dostanie orgazmu, mogąc mi zakomunikować, że Rada wyznaczyła mi zaszczytną misję redaktorzenia w „Wyzwolonej Kobiecie Ostrołęckiej” albo czymś takim. Później będzie parę lat bujnego rozkwitu Ruchu, a potem zacznie się on sypać. Pani Wsadzaj dawno już będzie nieaktualna, gdy ja okażę się czołowym bojownikiem, zasłużonym dla obrony kraju przed rozwydrzonymi, zbrodniczymi babami. — Przerywa na moment, wpatrując się w drogę. — Za czasów mojej młodości obalano komunizm. Teraz to już na pewno miał być raj. A kto go obalał? Sami byli komuniści. Tacy, co naprawdę z tym kurestwem walczyli, albo już dawno gryźli ziemię, albo im tak przygięto kark, że się przestali liczyć, albo od razu przy rozdawaniu kart wydymano ich jak świerszczy, bo mieli skrupuły i starali się grać uczciwie. Cóż poradzić, szlachetnych może czeka nagroda w niebie, ale tu, na ziemi, liczą się tylko mendy. Bo zawsze przydają się obu stronom. Więc nie próbujcie mnie, z łaski swojej, nawracać.

Zwalnia, podjeżdżając pod biało—czerwone barierki uspiętego o tej porze przejścia granicznego.

— Pindy mnie jeszcze popamiętają. A wiecie za co? Zablokowały wznowienie Sienkiewicza. Że niby propaguje samczą brutalność i przedmiotowe traktowanie kobiet — staje i gasi silnik, po czym ogląda się na Magdę. — Obiecała pani nie sądzić — przypomina.

— Nawet nie próbuję.

Kicz

Rześkie poranne powietrze. Zabieram plecaki i domykam pokrywę bagażnika. Srebrzysty wóz stoi na podjeździe, cichy, spokojny, jakby odpoczywał. Wreszcie Rafał wraca.

— Paszporty są w zasadzie w porządku, ale starajcie się ich jak najmniej używać. W każdym razie nie tam, gdzie można sprawdzić numery w komputerze. Ma się jeszcze znajomych — dodaje, jakby się chwalił. — Celnik nie będzie robił kłopotów. Pół godziny stąd jest podobno stacja kolei. Kraj jeszcze trochę niespokojny i dziki, ale z bożą pomocą powinniście sobie dać radę.

Uśmiecha się po swojemu, jakby z drwiną. Całuje Magdę w policzek, potem ściska mi rękę.

— Mój Boże, co za kicz — mówi jeszcze z niesmakiem, patrząc gdzieś ponad naszymi głowami, i zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, odwraca się gwałtownie, wsiada do toyoty i wykręca na szerokim podjeździe. Jakby się bał, że padnie jakieś słowo, na które nie zdoła znaleźć błyskotliwej riposty.

Patrzę za samochodem, aż znika za zakrętem drogi. Potem ruszam za Magdą. Już po tamtej stronie zatrzymuję się, przypominając sobie jego ostatnie słowa. Ponad postrzępioną ścianą lasu rozlewa się słoneczną plamą na szarym niebie brzask.

Rzeczywiście. Kicz pierwszorzędny.

— Nu, prohodyte, prohodyte — popędza nas ukraiński strażnik, rozglądając się na boki.

Przerzucam sobie plecak Magdy przez lewe przedramię, prawą ręką obejmuję ją lekko w pasie. Jeszcze przez chwilę opiera głowę na moim barku, patrzę na jej słodką twarz, na głębokie, zawsze odrobinę wilgotne oczy. I przez moment czuję się tak, jakby to wznoszące się nad lasem słońce eksplodowało mi w piersiach.

Ruszamy powoli skrajem drogi. Przed siebie.